

Wokół Świata 2 r. 50



46

thner i Wolff
zawa Zgoda 12

XXOjny i k

45

1920

TYGODNIK ILLUSTROWANY

w r. 1928

podając jak dawniej na swych łamach w ilustracji i tekście najważniejsze wydarzenia ze wszystkich dziedzin życia — drukować będzie najnowszą powieść

WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO

p. t. JAN TWARDOST-TWARDOWSKI. CZARNOKSIĘŻNIK POLSKI.

która odtworzy w całej barwie najświetniejszą epokę
dziejów Polski pod berłem Jagiellonów.

Doskonały stylista i obserwator życia, autor świetnych powieści „Kuznia”
oraz „Młodość, miłość, awantura”

PIOTR CHOYNOWSKI

prowadzić będzie na łamach Tygodnika Ilustrowanego KRONIKĘ TYGODNIOWĄ.

Bezpłatny dodatek powieściowy

w roku 1928 przyniesie co miesiąc TOM najcenniejszych utworów światnego pióra

KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO

którego słynny w całej Polsce humor otworzył serca wszystkich i zjednał mu
miłość zarówno starszych jak i młodocianych czytelników.

Wzorem lat ubiegłych, każdy prenumerator otrzymywać będzie nadto bezpłatnie co
miesiąc numer największego polskiego magazynu

NA OKOŁO ŚWIATA

Marzec roku 1928 przyniesie czytelnikowi wytworny

NUMER AUTOMOBILOWO-TURYSTYCZNY

grudzień 1928 roku

NUMER GWIAZDKOWY

o ustalonej w kraju i zagranicą opinii
najwspanialszego polskiego wydawnictwa gwiazdkowego.

Niewielka kwota

zł. 7.50 miesięcznie (z przesyłką 8 zł.)

21.50 kwartalnie („ „ 23 „)

pozwoli każdemu mieć w domu

najlepszy polski tygodnik, największy i najciekawszy miesięcznik
oraz tworzyć domową bibliotekę.

Prenumeratę przyjmują: Administracja Tygodnika Ilustrowanego, Zgoda 12
(P. K. O. 143), wszystkie księgarnie w Warszawie i na prowincji, oraz księgarnie
i kioski Tow. „Ruch”.



Tęsknota.

(Arlette Marchel)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

RĘCE.

Jedną z największych dolegliwości zimowych, jest czerwienienie i chropowatość rąk. Z chwilą nadejścia chłódów, nawet najładniejsze ręce wymagają starannej pieczy. Aby przez całą zimę ręczki były idealnie gładkie i białe, trzeba zaraz po umyciu, nie wycierając zupełnie do sucha, jeszcze w wilgotne ręce wetrzeć troszkę kremu *Pâte de prelat's perfection*, który wciera się do sucha i daje wprost idealne rezultaty. Nawet najwięcej zniszczone i zaniedbane ręce, już po paru dniach nabierają aksamitnej gładkości i delikatności. Jeżeli idzie o wybielenie rąk, to po wtarcu *Pâte de prelat's*, przypudrować grubo pyłkiem wybielającym *Juventa Candida*. Stosując środki powyższe, ręce zimą będą idealnie gładkie i białe, pomimo chłódów i mrozów.

M-me ERCÈDES.

Środki tu wymienione nabywać można we wszystkich drogueryjach i perfumerjach. Skład główny: *Perfumerja Perfection*, Szpitalna 10 w Warszawie.

Treść Numeru 46-go

	<i>Str.</i>
<i>Antoni Urbański:</i>	
Muzy króla i wieszczów (6 ilustracji)	3—10
<i>Wassan-Girej Dżabagi:</i>	
Pielgrzymka do Mekki (8 ilustracji)	11—28
<i>Eustachy Czekalski:</i>	
Liście pomarańczy (5 ilustracji K. Mackiewicza)	29—50
<i>Janina Stefańska:</i>	
Kobieta na ekranie (8 ilustracji)	51—68
Ilustracja	69—70
<i>K. Stromenger:</i>	
Filmowanie pianistów (4 ilustracje)	71—74
Ilustracje	75—80
<i>M. Białecki:</i>	
Gwiazdy olbrzymy i karły (5 ilustracji)	81—88
<i>Kazimierz Helle:</i>	
Quartier Latin (5 ilustracji X. Koźmińskiego)	89—102
<i>Lucjan André</i>	
Wiosna (6 ilustracji W. Ujejskiego)	103—128
<i>Prosper Szmurło:</i>	
Malarstwo zaświadome (11 ilustracji)	129—146
<i>Kazimierz Rogala-Kosiński:</i>	
Z życia rybek w akwarjum (1 ilustracja)	147—150
Odpowiedzi grafologa	151—152
<i>Stanisław Punicki:</i>	
Technika nowoczesnego banku	153—174
Humor (2 ilustracje B. Zaruby)	175—178
Rozrywki umysłowe (8 ilustracji)	179—182

Okladkę kolorową wykonał X. Koźmiński.

Adres Redakcji i Administracji

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

Warszawa, Zgoda 12, tel. 122—14

Telefon ekspedycji 104-32

Redaktor przyjmuje interesantów w *poniedziałki, wtorki i piątki*
od godz. 13 do 15

Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 15

Prenumerata kwartalna wraz z przesyłką wwnosi 6 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 46.

LUTY 1928 R.



Senorita Vidali, świetna tancerka hiszpańska, święci triumfy w Paryżu

Muzy króla i wieszczów

Napisał

Antoni Urbański

Był król Stanisław August kochankiem i wychowankiem muz. Liry o siedmiu strunach, jako Apollo, nie wynalazł, lecz Terpsychorze i Kaliopie służył wiernie, te się zato opiekowały boskim Augustem i wawrzynami wieńczyły królewską głowę.

Była mużą Stanisławowi Augustowi, jeszcze młodzieńcowi, pani Marja Teresa Geoffrin, z domu Rodet. Pochodziła z rodziny mieszczańskiej, była troskliwie wychowana przez babkę, a miała męża fabrykanta zwierciadeł. Miłowała nauki, służyła sztukom pięknym i otworzyła w Paryżu salon, którym zakasowała i panią de Lambert i pannę de Lespinasse.

Stał się salon pani Geoffrin akademją towarzyskiego życia, trybunałem smaku, przybytkiem muz. Stał się, jak powiada Sainte-



*Pani de la Ferte Imbard,
córka pani Geoffrin*

Beuve, encyklopedją dla encyklopedystów. Nie było żadnego znakomitego pisarza, któryby nie należał do koła pani Geoffrin. Uczeni i myśliciele byli stałymi jej gośćmi.

Na wtorkowych obiadach bywał u pani Geoffrin — Vernet, Vanloo, Boucher. Na śródowych przyjęciach — D'Alembert, Diderot, Grimm, Marivaux, Marmontel. Przybywający do Paryża najznakomitsi cudzoziemcy ubiegali się o przyjęcie u pani Geoffrin.

Umiała pani Geoffrin z niedowcipnego jęomości zrobić dowcipnego, umiała ożywić humor gości; przy starym pisarzu Fontenelle'u stawiała zawsze ruchomy piecyk żelazny, by Fontenelle był rozmowniejszy w cieple.

Był ten salon kluczem do towarzyskiego życia Paryża, był szkołą i areną ogłady i manier.

Taką mentorkę, przewodniczkę, mużę pozyskał Stanisław August w Paryżu. Kasztelan krakowski polecił młodego Stasia pani Marji Teresie Geoffrin. Miała wtedy pani Geoffrin już lat siedemdziesiąt, nie mogła więc być Stasiowi mużą pieścącą i pocieszającą, była mu jeno matką, przeoryszą, ksienią w życiu, a mużą, natchnieniem w pieśni i słowie.



Pani Geoffrin

Sławi panią Geoffrin Stanisław August w swych memoirach. Nie ma żalu do niej za to, że go kiedyś nazwała „grosse bête” — gdy to Stanisław August miał zajście ze starym marszałkiem de Noailles.

O jednej rzeczy jednak w memoirach bowski Augustus zapomina. Zapomina, iż dostał się w Paryżu do kozy za długi i że stamtąd go muza Marja Teresa Geoffrin wykupiła.

Gdy Poniątkowski został królem, to zaprosił muzę na swój dwór do Warszawy. Muza już nie była lekka, jako ona Terpsychora, miała już lat osiemdziesiąt, jednak pojechała, by ujrzeć pochrześnika w majestacie korony.

W Berlinie, Wiedniu, Warszawie przyjmowano ją jako triumfatorkę.

Wrzała podówczas Warszawa życiem szalonym, była jak ów namiot stubarwny, błyskotliwy. W nim nieskończony łańcuch festynów, kuligów, maskarad. W one kuligi i bachanalje wpadła osiemdziesięcioletnia mama Geoffrin.

Raziły ją łabędzie pudrowane, dęby, co miały wewnątrz ukryte wanny, liściki pisane białym likworem, fontanny odmłodzenia.

Niewsmak jej były różne Lulli i Czajki, co otaczały jej ukoronowanego pupila.



*Marja ks. Czartoryska z Puław
potem ks. Wirtemberska*



Elżbieta Krasińska

Wszakże wywiozła ze stolicy wspomnienie zamiłowania do kunsztu i nauk, czuła radość, gdy widziała, że pupila wieńczy muzy.

Taka była muza Augusta, pani Geoffrin. Miała córkę margrabinę de La Ferté-Imbard, śliczną o aksamitnych przymgłonych oczach, pogrążoną w mistycznej zadumie i dewocji.

Od pani Geoffrin do dwóch pań na Puławach przejdziemy. Są to córki Izabelli z Flemingów Czartoryskiej — ks. Marja, późniejsza ks. Wirtemberska, i ks. Zofja, późniejsza ordynatowa Zamoyska.

Były bo Puławy podówczas ogniskiem sztuki, świeciły wyjątkowym blaskiem swego czasu, stały się mitem i symbolem, stały się misterjum o zasłonie jeszcze niezupełnie uchylonej.

Panie na Puławach wieńczyły jako muzy całą plejadę wieszczów. Tu czerpali natchnienie Woronicz, Karpiński, Książnin, Zabłocki, Piramowicz, Trembecki, Niemcewicz, Koźmian, Brodziński, Morawski, Delille.

Księżniczka Marja, zwana przez Książniną „listkiem różanym, świeżo z pączka oderwanym”, nie była pięknością klasyczną, lecz miała dużo uroku. Była to postać rycerska, co przypominała dawne turnieje. Była ową damą, co w szrankach nagradzała barwą, dewizą, symbolem.



Delfina Potocka

Stała na kobiercu ślubnym z Ludwikiem Wirtemberskim, udziałnym księciem, co miał młodość burzliwą. Namiećtnie kochał karty i kobiety, mniej namiećtnie wierzycieli. Młodą żonę ulokował na zamku Montbeillard, sam udawał wodza w Pomeranii, lecz właściwie szalał, grał, wreszcie zdradził Polskę.

Księżna Marja wtedy poniewolne śluby zerwała, ranę miała niezagojoną, lecz smętek zachowała dla siebie, dla drugich miała słodycz i pogodę.

Wiodła długi żywot w Marynkach, Sieniawie, Paryżu, przeniosła tradycję Puław na obczyznę i była dobrym duchem dla poetów.

Szła wieść, że księżnę Marję z Ludwikiem Wirtemberskim skojarzyła miłość, rozdzieliła polityka. Tymczasem polityką były uczyły Baltazarowe księcia Wirtemberskiego i piękne niewiasty.

Szczęśliwszą od księżny Wirtemberskiej, była jej siostra, ordynatowa Zofja Zamoyńska. O wiele od Wirtemberskiej piękniejsza, wychowała dziesięcioro dzieci na pożytek kraju. Była matką Andrzeja Zamoy-

skiego i generała Władysława. Znamy ją dobrze z portretu Gerarda, tu ją widzimy na nieznanym portrecie angielskim o zagadkowym, pełnym finezji uśmiechu.

A teraz inna muza „lekkiem szaty błękitna i biała” — Delfina z Komarów Potocka.

Muza księcia Orleańskiego, pana Flahaut, Chopina, Zygmunta Krasieńskiego, Winterhaltera, Ary Scheffera — nazwana Beatriczą i Don Juanem w spódnicy, nazwana „une femme abandonnée, une femme incomprise” — to Delfina Potocka.

Blondynka o przepysznym, bujnym włosach, o cerze alabastrowej i oczach szafirowych, cudnie oprawnych w ciemne brwi i rzęsy. Bardzo wysoka, prześlicznie zbudowana, majestatyczna, zmysłowo kusząca i powabna — była rozkoszą niewypowiedzianą dla malarzy, jeśli nota bene malarz był ładny.

Krasieński się skarży czasem, że jego „Dysz” ma surowość w spojrzeniu, usta zmysłowe, co obiecują jednak przebaczenie i nagrodę.

Krasieński się skarży, lecz kocha swą „Dialę”, swą „Didyszę”. Choć „Didysza” miała przeszłość przesiąkniętą „jadem Tulczyńskim”, no i jakimś „jadem Londyńskim”, choć Didysza stała już „za przepa-



Zofja ks. Czartoryska z Puław

ścią", do której ją przedtem wciągnęli ksią-
żę Orleański i pan Flahaut, do której zresz-
tą sama lubiła się czasem wciągnąć.

Na boku jednak stałe „jad Tulczyński”,
stają wszystkie „przepaści”, stają usta zmy-
słowe, gdy przypomnimy sobie pierwsze
spotkanie Krasińskiego z Delfiną w gajach
florencckiego Campo Santo, przypomnimy
sobie „nad Alp śniegiem rozwieszono Włoch
błękity”.

Będziemy wtedy widzieli cudną Delfinę
jako muzę Krasińskiego, jako jego natchnie-
nie. I jeszcze ją potem ujrzemy grającą
Chopinowi, gdy Anioł śmierci już do niego
nadszedł.

Rywalką Delfiny Potockiej była Eliza
z Branickich Krasińska.

Brunetka o włosach czarnych jak heban,
a lśniących jak atlas. Włosy stanowiły pysz-
ny kontrast ze śnieżno-białą, idealnie świe-
żą, matową cerą. Miała kształtne, nadzwyz-
czaj delikatne usta, których największą
ozdobą był przedziwny, łagodny, trochę
smutny uśmiech. Miała oczy czarne, cudnie
oprawne, a żywe, pełne wyrazu. Jeszcze
miała głos dźwięczny, łagodny, raczej przy-
ciszony.

Może za dużo miała wyniosłego chłodu,
choć była nader uczuciowa z usposobienia.

O rączkę pięknej Elizy starał się ks. Mont-
fort Hieronim Bonaparte. Zygmunt Krasiń-
ski nazwał ks. Montfort „Silnogórowym”.
Gdy stała się Eliza żoną Krasińskiego, to
wiedziała dobrze, że Krasiński kocha Del-
finę Potocką. Wtedy biedna Eliza płakała.
Lecz bez skrzywienia twarzy, bez zaczer-
wienienia oczu. Jeno padały łzy duże, cięż-
kie, a rzadkie. St. Tarnowski powiada, że
płakała jak Madonna Tycjana w „Złożeniu
do grobu”.

Miała jednak przewagę Eliza nad Delfiną.

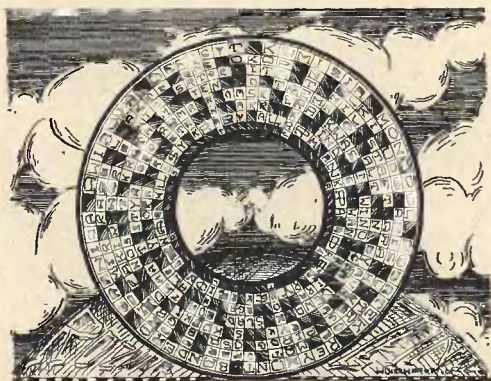
Była słońcem wschodzącym wtedy, gdy
Delfina już była słońcem zachodzącym. Że
się wzajemnie nie lubiły, tego możemy być
pewni.

Eliza nie gasła przy Delfinie, tylko
owszem Delfinę gasiła.

W końcu Beatryczą Krasińskiemu stała
się zamiast Delfiny, hebanowłosa Eliza. Jej
pisał wtedy: „ach, już na wieki ciebie uko-
chałem”.

Taką była Eliza Krasińska, jako św. Mo-
nika przez Ary Scheffera przedstawiona.

ROZRYWKI UMYSŁOWE



Rozwiązanie 9 krzyżówki pozaturniejowej wykonane
przez Wiktora Ciechanowicza z Wilna

Pielgrzymka do Mekki

Napisał

Wassan=Girej Dżabagi

Pielgrzymka do Mekki (hadż) stanowi jedno z najbardziej oryginalnych przepisów religii muzułmańskiej, ale zarazem i zjawisko, które pociąga za sobą niezmiernie ważne skutki polityczne i ekonomiczne. Wobec tego, że „hadż” ściąga ze wszystkich krajów świata setki tysięcy ludzi różnych ras i cywilizacji, dostarcza on rok rocznie sposobności spotkania się wyznawców proroka Mohammada, stwarza tło, na którym świat muzułmański odczuwa świadomość swej łączności, swej jedności i swego braterstwa.

Początki tego zwyczaju sięgają do najodleglejszych czasów, do zarania historii ludów arabskich.

Będąc położony na rozdrożu wielkich szlaków handlowych, Hedżas już przed VI wiekiem ery chrześcijańskiej, posiadał szereg świętych miejsc wspólnych wszystkim szczepom arabskim półwyspu. Przedewszystkiem tą świątynią była Kaabah, a poza tem i wzgórze Arafat, Mozdalifa, Mina, i t. d., gdzie składały się ofiary, odbywały się postoje karawan, jarmarki, wyścigi, turnieje, rzucanie kamieni, i t. d.

Kaabah przed Islamem zawierała 360 posążków bóstw różnych plemion arabskich, bo każdy szczep posiadał swego własnego bożka. A więc z tego powodu co rok napływały do tej świątyni tłumy pielgrzymów ze wszystkich części półwyspu.

Po założeniu pierwszych podwalin nowej religii, prorok Mohammad skorzystał z dawnej tradycji narodowej, aby ściślej związać wiernych pomiędzy sobą. Mimo, że musiał w pierwszych latach swej działalności religijnej opuścić Mekkę i zamieszkać stale Medynę, prorok, w zrozumieniu znaczenia tradycji i przywiązania ludów arabskich do Kaaby, przełamał swą niechęć do Mekkańców



Pielgrzym turecki, odprawiający modły na statku w drodze do Mekki

i sam po zdobyciu przez siebie Mekki, odbył w r. 629 pierwszą pielgrzymkę do Kaaby.

Ceremoniał „hadż'a” w warunkach, w których go wykonał sam prorok, zostaje miarodajnym do nowszych czasów.

Hadż (wielka pielgrzymka) składa się z dwóch rodzajów obrządków: z ceremonii „omra” (małej pielgrzymki) naokoło Kaaby i ceremonii wykonywanych naokoło świątyń sąsiednich w Arafie, Mordalifie i Minie.

Celem ułatwienia zrozumienia obrządków hadżu podamy naprzód opisy świętych miejsc:

Mekka leży na drogach, prowadzących z Syrii do Jemenu, wzdłuż morza Czerwonego. Podanie arabskie nawiązuje założenie Mekki do czasów Abrahama. Powiadają, że, gdy Agar, będąc porzuconą, wraz z synem swym Ismailem, biegła od pagórka do pagórka, wołając o pomoc, anioł Gabriel spowodował pojawienie się krynicy obok dziecka, które miało zostać później przodkiem Arabów. Krynicą tą była Żem-Zem. W pobliżu Abrahama wznosił, przy pomocy Ismaila, 4200 lat temu dom Allaha (Bait-ullah), Kaabę, na tem samem miejscu, gdzie właściwie stała świątynia zbudowana, jakoby, przez praojca rodzaju ludzkiego Adama, świątynia, zburzona następnie przez potop wszechświatowy.



Pochód pielgrzymów, powracających z Mekki

W dzisiejszym stanie świątynia przedstawia się jako wielki czworobok (Kaabah), dwanaście na dziesięć metrów długości i sześciu wysokości. Wszystkie cztery boki są osłonięte materią bawełnianą-jedwabną, koloru zielonego, zwanego „kiswa” (ubranie), która fabrykuje się w Egipcie kosztem sułtana (chedywa) egipskiego i posyła się co rok, podczas hadż, przy okolicznościach nader uroczystych wraz z „Mahmalem”, symbolicznym palan kinem, mającym przedstawiać majestat władcy. Na pewnej wysokości „kiswa” rozdziela się wstęgą czarnej materji, na której są wyhaftowane wiersze, z Koranu, dotyczące Kaaby. Jest to pas („hizam”) świątyni.

Ponieważ co rok ubranie Kaaby odnawia się, zdjeta już „kiswa” rozcina się na drobne kawałki, które sprzedają pielgrzymom, jako pamiątki w licznych sklepach, położonych naokoło meczetu. W rogu południowo-wschodnim Kaaby jest umieszczony kamień czarny na wysokości półtora metra od ziemi (el Hedżar el Aswad); stanowi to kawałek miękkiego granitu (meteoryt). Kiedyś, wskutek niewiadomego zdarzenia, kamień ten został rozbity na kawałki i teraz jest obramowany w pas srebrny, w dziesięć centymetrów szerokości i w 40 centymetrów w diametrze.

Kaabah jest otoczona elipsoidalnej formy dworkiem, brukowanym płytami kamiennymi (mat'af), w którym pielgrzymi wykonywają swe obchody rytualne (tawaf).

Wewnątrz „matafa”, naprzeciwko rogu, gdzie jest umieszczony czarny kamień, podnosi się pawilon (Kubba) studni Zem-Zem, pod którym znajduje się szerokie oporęczowanie, na którego dnie płynie święta krynica. W uroczyste dni pielgrzymki, tłumy pielgrzymów rzucają się do tej studni, aby, za przykładem proroka, wydostać osobście wodę. Szczęśliwi są pielgrzymi, którym się uda wydostać ilość wody, wystarczającej do namaczania swych szat. Inni namaczają w wodzie z Zem-Zem całuny, suszą je następnie we dworze świątyni. Wodę studni sprzedaje w specjalnym sklepie korporacja dozorców Zem-Zem w naczyniach glinianych.

Zewnątrz „matafa” znajdują się trzy małe pawilony, gdzie modlą się imamy głów-

nych szkół prawnych: hanefickiej, maleickiej i hanbalickiej. Co do czwartej szkoły, mianowicie szafeickiej, posiada imam jej specjalny przywilej modlenia się wewnątrz „matafa”.

Tak sama świątynia, jak i „mataf”, z należącymi do niego pawilonami, są otoczone obszernym dworem („Sahn”) wybrukowanym drobnymi kamieniami. „Sahn” jest długi na 160 metrów i szeroki na 100 metrów, tj. zajmuje przestrzeń, równą mniej więcej dworowi wewnętrznemu Louvre'u paryskiego. Dwór oddziela się od miasta szeregiem galerji o arkadach różnych form i wielkości.

Przez galerje te prowadzą na zewnątrz dwadzieścia dwie bramy, z których głównymi są: „Bab es Salam” (brama zbawienia) na północo-wschodzie i „Bab es Safa” na południu, naprzeciwko rogu Czarne go kamienia.

Ta ostatnia brama prowadzi do „es Safa”, niewielkiego wzgórza, od którego zaczyna się „mas'a”, ścieżka, którą za przykładem Agari, pielgrzymi muszą siedem, razy przejść w tempie przyspieszonym. „Mas'a” kończy się drugim pagórkim „El-Marwa”. „Mas'a”, która ongiś stanowiła łożysko potoku górskiego, dziś jest ciasną a długą ulicą, z licznymi sklepami, zakładami fryzjerskimi i t. d.

Rejon, sąsiadujący z Mekką, jest terytorjum święte („haram”). Granice jego są oznaczone punktami, gdzie według podania zatrzymały się demony, gdy zobaczyły zapalony przez Abrahama na górze Abu-Kobais wznoszący się ponad miastem święty ogień. Więc haram stanowi w rzeczywistości obszar promieniowania świątyni.

Pielgrzymka do Mekki stanowi jeden z pięciu głównych punktów praktyki religijnej Islamu. Są to: 1) wyznanie wiary (Jeden jest Bóg i Mohammad Jego posłańcem); 2) modlitwa; 3) jałmużna; 4) post i 5 „hadż”.

Muzułmanie są obowiązani odbyć przynajmniej jeden raz w życiu pielgrzymkę do Mekki. Jednak obowiązek ten religja nakłada jedynie na dorosłych, zdrowych fizycznie i umysłowo, i dość zamożnych, aby pokryć koszty podróży i zabezpieczyć utrzymanie swej rodziny w czasie nieobecności. Oprócz tego drogi komunikacyjne muszą być bezpieczne do podróży. Kobiety mogą wybierać się w pielgrzymkę jedynie za zgodą mężów i w ich towarzystwie; nieza-

mężne kobiety muszą znajdować się w podróży pod opieką pewnych protektorów. Muzułmanin ma prawo i obowiązek w wypadku, gdyby sam nie mógł przedsięwziąć pielgrzymki, posłać kogoś innego zamiast siebie na „hadż”.

Czas, w którym odbywa się „hadż”, zbiega się z dniem „Kurban-Bajramu” w miesiącu „Zil-Hadż”.

Pielgrzymi przy zbliżaniu się ku granicom Mekki zdejmują z siebie zwyczajne swe szaty, zanosząc modlitwy i prosząc Allaha o odpuszczenie grzechów. Wzamian nakładają „ahram” (słuzne, niezszyte kawałki płótna białego). Dwa większe ręczniki niezszyte mogą zastąpić „ahram”. Jest to właściwy początek „hadżu”.

W dniu 9 miesiąca „Zil-hadż”, zwany dniem Arafat, pielgrzymi zbierają się w miejscowości Arafat, położonej na wschód od Mekki, w odległości 6 godzin podróży. Zebrani tu, oczekują wigilii „Kurban-Bajra-

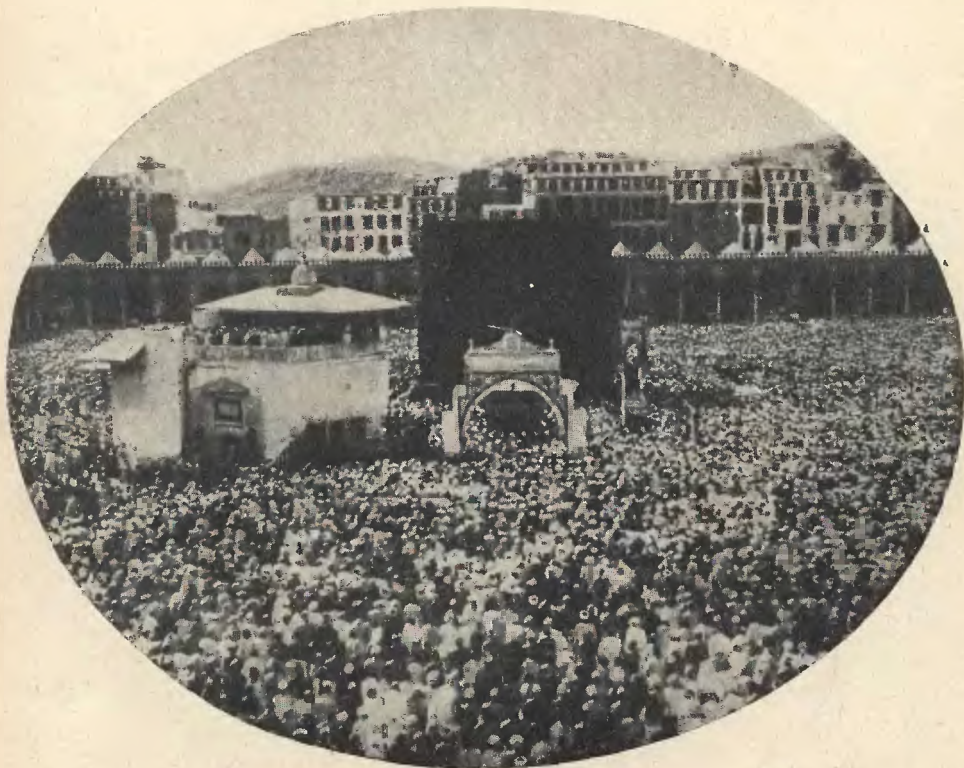
mu”, aby wykonać ostatnią akcję przygotowawczą obrzędu, „wakfa”, tj. pielgrzymi modlą się od południa do wieczora, pokutując i prosząc Allaha o odpuszczenie grzechów.

Następnie udają się do Mekki i w jeden z trzech dni Kurban-Bajramu wykonywają „tawaf”, to znaczy siedem razy, zgodnie z ustalonym rytuałem, obchodzą święty gmach Kaaby.

Kobiety postępują tak samo, z tą jednak różnicą, że narzucają one na siebie białą osłonę na suknię.

Oprócz tych obrzędów, pielgrzymi rzucają drobne kamyczki („dżamra”), przynosząc w ofierze barany, woły, siedem razy przyspieszonym krokiem wędrują pomiędzy „Safą i Marwą”; przy zbliżeniu się do Kaaby wykonywają „tawaf” (obchodzą ją siedem razy).

Wreszcie udają się, wciąż ubrani w Ahram do „Amra”, miejscowości, położonej na za-



Pielgrzymi w miejscu świętym w Mekce

chód od Mekki, i odległej o dwie godziny drogi, na modlitwę; podróż ta stanowi ostatni obrzęd „hadżu”.

Po ukończeniu wszystkich tych obrzędów pielgrzymi, którzy już teraz otrzymali prawo zwania się „Hadżi” (pielgrzym), śpieszą się do świętej Medyny, aby pomodlić się na grobie proroka Mohammada. Wskutek znajdowania się tu grobowca założyciela Islamu, Medyna jest dla Muzułmanów najdroższem, po Mekce, miastem świętem.

Ta część miasta Medyny, gdzie spoczywają prochy proroka, nazywa się „Rozei-mutah-hara”. Odwiedziny tej wspaniałej dzielnicy porównywiają „hadżowie” z wstąpieniem do raju. Tych szczęśliwców, którzy zwiedzili Kaabę i Rozei-mutah-hara nazywa się „Alhadżilharein”.

W jednym z podręczników szkolnych tureckich, traktujących kwestję religii muzułmańskiej, z którego zaczerpnęliśmy powyższe wiadomości, czytamy dalej co następuje:

„Pielgrzymi nie mogą się zadowolnić

zwiedzaniem i uwielbieniem świętych miejsc. Tam zjeżdżają się ze wszystkich krajów świata całego bracia w religii — Muzułmanie, aby się spotkać, zaznajomić i doświadczyć się wzajemnie o warunkach życia i bytu każdego narodu, aby jednoczyć się nie tylko na podstawie wyznaniowej, lecz i na podstawie wymiany wiadomości naukowych, myślowo - handlowych i agronomicznych. Zjednoczenie Muzułmanów na terenie zwiedzania świętych miejsc musi doprowadzić koniecznie do zespolenia się wszystkich Muzułmanów kuli ziemskiej, tak jak to nakazuje nam święty Allah”.

Jak zaznaczono wyżej, prorok ogłosił w r. 629 pierwszą pielgrzymkę i osobą stał na czele pierwszej karawany z Indii do Mekki, która sama otworzyła nową drogę.

Uświadamiając sobie doniosłe znaczenie pielgrzymki dla wzmocnienia węzłów braterstwa między wszystkimi narodami wyznającymi Islam, w czasach późniejszych Chalifowie, naśladując przykłady proroka,



Ogólny widok Mekki



X-12664

4549

II

/1928

4549.1928.46

II nr 46-57



Wielbłąd, niosący święty dywan, zbliża się do statku, odjeżdżającego do Skutari, na którym zostanie przewieziony do Mekki

wszelako popierali pielgrzymkę i nieraz sami we własnej osobie udawali się ze swych stolic z Medyny, Damaszku i Bagdadu, do świętych miast. Tak, pierwszy Chalif Abu Bekr, już na drugi rok sprawowania swej godności Chalifa zwiedził Mekkę i Kaabę jako pielgrzym. Następni Chalifowie, Omar i Osman, pielgrzymowali również corocznie. Hassan, syn Ali, mimo, że miał swą siedzibę w Kiufie (nad Eufratem), 25 razy wykonał, i każdy raz pieszo, pielgrzymkę do Kaaby. Tak samo postępowali i późniejsi Chalifowie z domu Ommajadów (Damasceńscy) i Abbasydów (Bagdaccy), o ile na to pozwalały im sprawy państwowe i okoliczności polityczne. Harun-Al-Raszyd miał zwyczaj zwiedzać święte miasto co dwa lata. W latach, gdy on sam nie mógł odbyć pielgrzymki, posyłał swym kosztem 300 zastępców.

Żaden z sułtanów tureckich, mimo, że

jednoczyli w swej osobie, również godność Chalifa, nie zwiedzili ani razu Mekki, tłumacząc się przeszkodami i względami państwowymi, które nakazywały im, rzekomo, nie wyjeżdżać na dłuższy czas ze stolicy swej. Natomiast sułtanowie-Chalifowie otomańscy starali się osypać bogatymi darami Mekkę i Medynę. Bajazed II posyłał tam co rok 12 tysięcy dukatów, Selim I podwoił tę sumę, zwiększając ją co rok stopniowo, póki nie wyniosła 200 tysięcy dukatów. Oprócz tego do tych pieniędzy dołączano wielką ilość produktów spożywczych, których musiał dostarczać zresztą Egipt. Na czele karawany Chalifa stał zazwyczaj wysoki urzędnik, Surreemini (intendent skarbu).

Za późniejszych czasów sułtanowie wydawali na cele pielgrzymki około 2½ milj. piastrow rocznie. Znaczna ta suma zdaje się jednak być znikomo małą w porównaniu z wydatkami na pielgrzymkę chalifów

Damaszku i Bagdadu. Tak, Soliman-ibn-abd-el-Malek, około r. 720, użył 900 wielbłądów dla przewozu swych darów; El-Mahdi-Abu-Abdullah-Mohammed, w r. 782, wydał na swą pielgrzymkę 30 milionów dirhemów (dirhem = 70 groszom w złocie); Harun-Al-Raszyda kosztowała jego podróż do Mekki 1 milion dynarów (10 milionów złotych w złocie); Moktedar przyniósł w ofierze 40.000 krów i 50.000 owiec; sułtan egipski, w r. 1341, użył 780 koni do transportowania samych tylko produktów spożywczych, konfitur i owoców; wice-król Egiptu, Mehmed-Ali pasza, wyruszył w r. 1814 do Medyny z olbrzymią karawaną, przyczem jedna z jego żon wiozła багаż na 500 koniach.

Znaczenie hadża dla jednościi świata muzułmańskiego jest olbrzymie, bo gromadzi on co rok przedstawicieli wszystkich krajów i narodów islamskich, a więc można uważać hadż jako coroczny powszechny zjazd muzułmański.

Nielatwą jednak rzeczą jest odbyć podróż do świętej Mekki dla większości narodów, tak z powodu odległości, jak wsku-

tek niebezpieczeństw, czyhających na pielgrzymów w drodze. Dlatego też pielgrzymi zbierają się w pewnych punktach znacznymi grupami, organizują wielkie karawany, zaopatrzone w żywność i broń. W miarę zbliżania się tych karawan do świętej ziemi, przyłączają się do nich w drodze wciąż nowe i nowe grupy. Karawana, która wyrusza z Kairu (karawana afrykańska), wioząc kiswę (ubranie) dla Kaaby, i której towarzyszy lektyka symboliczna (mahmał) monarchy egipskiego, była niegdyś ośrodkiem, do którego zjeżdżali się pielgrzymowie afrykańscy z Maghrebu (zachodu afrykańskiego) — Marokko, Tunisu i Algieru, z Nigeru, z Tczadu, z Tybestu i z Sudanu. Karawana ta udaje się poza tem przez morze Czerwone do Dżeddy i stamtąd do Mekki.

Karawana z Damaszku (karawana syryjska) ściągała do siebie pielgrzymów z całej Turcji, Kaukazu i z nad Wołgi. Do niej przyłączała się karawana konstantynopolska, wioząca mahmał sułtana - chalifa. Karawany te kierowały się drogą przez całą Arabję. Na czele połączonych karawan



Wąwóz, w którym rozpięli swe namioty pielgrzymi

stawiała poważna osoba, przedstawiająca sułtana tureckiego, której nadawano tytuł amir-el-hadż (książę hadżu).

Trzecia karawana, która organizowała się w Bagdadzie (karawana iraska), ściągała do siebie pielgrzymów z Azji środkowej, Persji, Iraku, jak również z Indyj i Chin, podróżujących lądem. Nareszcie pielgrzymi z Indyj, wysp Sudajskich i Filipin udawali się do Mekki albo przez Aden, albo przez Dżeddę.

Za naszych czasów, dzięki rozwojowi nawigacji i kolei żelaznych, drogi i kierunki podróży pielgrzymów uległy całkowitej zmianie. Linja kolejowa hedżaska (z Damaszku do Medyny) zniosła karawanę syryjską. Chociaż mahmał sułtana egipskiego i dziś jeszcze podróżuje lądem, jednak pielgrzymi afrykańscy, którzy dawniej przyłączali się do niego, wolą dziś drogę morską przez kanał Sueski i Dżeddę, albo przez Aleksandrię i Haifę udają się koleją żelazną do Medyny i stamtąd drogą lądową do Mekki; inni zaś jadą przez port Sudan na Dżeddę; również pielgrzymi z Chin, Indyj, archipelagu Sundajskiego, za przykładem ludzi z Maghrebu, obierają obecnie wyłącznie drogę morską, żeby dotrzeć do Dżeddy.

Liczba pielgrzymów, lądujących w tym porcie w latach poprzedzających wielką wojnę, wynosiła:

w roku 1909	71.254 ludzi
" " 1910	90.051 "
" " 1911	86.024 "
" " 1912	83.275 "

z których zazwyczaj około 50 — 60.000 pielgrzymów przypada na kolonie brytyjskie (Indje przeważnie), a reszta na kolonie holenderskie (Jawa i Sumatra), Afrykę północną i zachodnią, Persję i t. d.

Obliczono, że ogólna liczba pielgrzymów, udających się do Mekki, wynosiła przed wojną około 250.000, a tych, co zwiedzali, oprócz Mekki, i Medynę — około 100.000.

W czasie wojny i po wojnie pielgrzymka nie mogła się odbywać regularnie, wobec licznych przeszkód, spowodowanych zdarzeniami politycznymi, tak zewnątrz, jak i wewnątrz Hedżasu. Ogłoszenie się chalfem byłego króla Hedżasu, Husseina, uważanego w świecie muzułmańskim za kreaturę angielską, wywołało w świecie muzułmańskim, zwłaszcza zaś w Indjach brytyjskich, energiczną propagandę przeciwko pielgrzymce. Poza tem uniemożliwiła całkowicie pielgrzymkę walka pomiędzy Wahabitami i dynastją Haszemitów, t. j. z kró-



Pielgrzymi przed odjazdem do świętego miasta słuchają przemówienia jednego z „Hodżów”, którzy im towarzyszą



Góra Arafat jest obozowiskiem pielgrzymów

lem Husseinem i jego synem Ali. Dopiero w lipcu roku zeszłego na wszechislamskim kongresie, odbytym w Mekce, zdecydowane zostało wznowienie, poczynając od roku bieżącego, w warunkach normalnych, pielgrzymki do świętych miast. Również uchwalono przedsięwziąć szereg zarządzeń i ulepszeń warunków podróży oraz pobytu pielgrzymów w świętych miastach. Mają być wybudowane, na wspólny koszt ludów muzułmańskich, linie kolejowe między Medyną

a Mekką i Dżeddą a Mekką; poza tem Dżeddą i Mekką mają być zaopatrzone obficie w wodę, w szpitale i hotele nowoczesne i t. d.

Mimo wrogiej propagandy, ze strony czynników niemuzułmańskich, przeciwko regimie wahabickiemu w Hedżasie, zjazd tegoroczny pielgrzymów do Mekki ma osiągnąć liczbę 250.000, czyli mniej więcej rozmiary przedwojenne.

Giuseppe Penone

LISCIE POMARAŃCZY

Ilustracja Kamil Mackiewicz



Już na zatokę neapolitańską wolno opuszczać się poczęty srebrne, pajęczce kotary. Jeszcze widać było z prawej strony szczyt Wezuwiusza i biały, gęsty obłok. Leon Odrowąż stał na tarasie hotelu i wodził oczami po horyzoncie. Cuda te nie czarowały go: zbyt długo był poza krajem. Przypomniawszy mu się zapach iglastego lasu, otworzył nozdrza, jak zahipnotyzowany. Oczy napełniły się purpurą i fioletem tatrzańskich świtów. Zieleń dolin, złoto dojrzewających pól, kontury drzew, krzewów rodzinnych przewijały się przed stęsknionymi oczami.

Zmierzył rzucił gęste zasłony na majaczącą linię ziemi. Rozbłyśły światełka elektryczne, rozchybotały się błędne ogniki latarni morskich. Czas było zasiąść do kolacji. Ciężko, niechętnie podszedł do stolika.

Wnet zjawił się kelner i szczerząc się, uważnym spojrzeniem śledził każde jego poruszenie. Chwycił wlot zamówienia i zginął bezszelestnie. Odrowąż obwiodł wzrokiem po sali. Spotkał nową twarz kobiecą. Duże błękitne oczy spojrzały na niego ukradkiem, szybko. Inżynier spostrzegł je, nie znalazł w nich nic szczególnego. Należały do płowej blondynki.

Nalał do szklanki białego wina i pociągnął duży haust. Kelner przyniósł jedzenie. Wieczera przeszła bezbarwnie, uroczyscie.

Cygaro poszedł palić na taras. Już ciemno było na dworze. Zawitał rzeźwiący chłód południowej nocy. Odrowąż siedział zapatrzony w nieokreślony punkt. Wtem stary pan o końskiej, długiej twarzy zapytał go po przyjacielsku, w czystej londyńskiej gwarze:

— Jak Pan myśli, czy nie byłoby dobrze z Capri zawinąć okrętem do Genui?

— Przyjemna podróż — uprzejmie odrzekł.

— Już mi się tu nudzi. Nie mam co robić wieczorami.

— Odpoczywamy przecież.

— Nie lubię odpoczywać.

Rozmowa nie kleiła się jakoś. Błyszczące gwiazdy jarzyły się rażno, jak światełka elektryczne. Stary Pan zauważył:

— A jak Panu podoba się nowa Amerykanka?

— Ta z błękitnymi oczami?

— Właśnie...

— Nic specjalnego.

— Grunt, że niewielka...

Nareszcie Anglik miał możność wykazać, co specjalnie go interesuje. Ożywił się: wygłaszał różne teorie na temat kobiet. Odroważ uprzejmie słuchał. Niezadługo nadeszła i Amerykanka. W białym żakiecie, przybranym białymi lisami, jej twarzyczka o wykarminowanych wargach, przypominała ładniutki, przeciętny portrecik z angielskiej ilustracji.

— Jestem gotowa na wycieczkę.

Anglik podniósł się i nie omieszkał zadośćuczynić formom towarzyskim starego ładu:

— Pozwoli sobie Pani przedstawić: inżynier Leon Odrowąż...

Nastąpiło uściśnięcie rąk. Amerykańska miss uśmiechnęła się wdzięcznie.

— A możeby i Pan towarzyszył nam na tę eskapadę?

— Bardzo proszę... dorzuciła Amerykanka. Mam nadzieję, że Pan zna tę wyspę co najmniej tak dobrze, jak sir Kandell.

— Droga Pani, nie mam zamiaru konkurować z panem inżynierem.

— Tak długo Pan tu już mieszka?

— Tego nie wiem — odpowiedział znów za Odrowąża sir Kandell. Nie ulega jednak wątpliwości, iż świat jest za mały dla inżyniera.

Nie było rady, znalazł się w sytuacji, że musiał ulec propozycji. Poszedł więc do nudnej, niemieckiej cukierni i rozglądał się po natłoczonym lokalu.

Wstał dzień uśmiechnięty, łagodny, osrebrzony słońcem zatoki neapolitańskiej. Niebo było błękitne, a powierzchnia morza lśniła, jak ciemnoniebieska, olbrzymia cerata. Z winnic lekki wiatr przyniósł dziwne aromaty. Nie zadrgały jednak drzewa oliwkowe, nie poruszyły konarami pinje. Kelnerzy cicho, sprawnie roznosili śniadania. Panie i Panowie w porannych strojach, przeważnie z kąpielowemi, zwiniętymi przyborami prędko spożywali zamówione „gli primi collazioni” i śpieszyli do morza. Niektórzy szli do kolejki zębatej i zjeżdżali nią na „Granda Marina”; inni spacerem schodzili na dół.

Droga do hotelu wiła się nieprawdopodobną serpentyną: kuto ją w skale wulkanicznej, żmudnie, cierpliwie, by wygodzie ludzkiej stało się zadość. Po podmurzowanych gzymsach, ostępach, płatały się kolorowe, kwieciste girlandy.

Słońce szło równo ku szczytowi skalnemu, kładąc cień; mógł on służyć za wskazówkę czasu dla połowy wyspy; druga połowa miała również swoje wzgórze; było ono pokryte krzewami, winnicami, zielenią. Na zboczach wyspy nabudowano domów, willi, hoteli co niemiara. Wyspę tę zna cały świat: zwie się Capri. Umiłowana jest przez Anglików. Nic dziwnego więc, że pełno tu i Niemców. Lubią oni ślady angielskie!

U pobraża słychać było gwar niemiecki i angielskie szczekanie wargami. Mówiono o „lazurowej grocie”, celu wycieczki.



Ciężko, niechętnie podszedł do stolika

Słuchał banalnych tych, baedekerowskich rozmówek Leon Odrowąż, czterdziestoletni już mężczyzna; z zawodu był on inżynierem nafciarzem. Prezentował się świetnie. Mógł uchodzić za lorda, czyniąc przytem zaszczyt tej kaście ludzi. Pracował w kolonjach angielskich, holenderskich. Ubrany był bez zarzutu, ze swoistym wdziękiem, ściągał na siebie wzrok towarzyszy wycieczki, choć nie zachęcał nikogo do zbliżenia. Nie śpieszył do barek, gdy wycieczkowicze rozmieszczali się po łodziach; skinął ręką na rybaka i w neapolitańskim dialekcie zażądał, by nikogo więcej nie brano do jego łupiny.

Morze było łagodne, ciche. Wycieczka minęła prawie bez wrażeń. Niemcy głośnym rechotem obwieszczali zachwyt nad byle czem, Anglicy poważnie nakładali na nosy lornety.

W hall'u po powrocie portjer dyskretnie zwrócił się do Odrowąża:

— Miss Stockuell pyta, czy nie zechciałby pan zjeść śniadanie przy jej stole...

Cóż mógł odpowiedzieć?

— Zrobi mi to przyjemność...

Znużyło go słońce. Szybko oddalił się do swego pokoju, by się odświeżyć cokolwiek. Do stołu przebrał się na biało. Jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy zastał przy stole miss Stockuell w wykwintnej sukni paryskiej. W otoczeniu kąpielowych tualet, suknia ta raziła. Jeszcze więcej wątpliwości nasuwały pierścienie. Zauważyła to i prosto powiedziała:

— Pana dziwią te pierścienie?

— Nie rozumiem tej uwagi.

— Brylanty, perły, szafiry są autentyczne...

— Nie wątpię ani przez chwilę...

Jak to dobrze, że stanął przy stoliku kelner. — Przy jedzeniu rozmowa nabrała sympatycznych tonów. Miss Stockuell opowiadała o Stanach Zjednoczonych, o New-Yorku, o Detroit. Inżynier prawie nie przerywał jej. Znał dobrze amerykańskie hymny samouwieblenia. Nie spodziewał się zresztą wcale, że może usłyszeć od niej coś oryginalnego. Wtem zapytała go wręcz:

— A w Polsce czy jest ładnie?

— Skąd pani wie, że jestem Polakiem?

— Zapytałam się portjera. — Odpowiedziała bez zażenowania. Błękitne, duże jej oczy wpatrzyły się w Odrowąża uważnie.

— Jest to z pani strony zapewne uprzejmość, że pani pyta o mój kraj ojczysty.

— Pan nie lubi swego kraju?

— I ten wniosek jest zbyt ryzykowny...

— Przepraszam. Myślałam tylko, że skoro pan nie może pracować we własnym kraju, to jest pan niezadowolony...

— I to jest tylko — wniosek... Czyżby i te informacje przyszły do pani od portjera?

— Portjer mówił mi tylko, że pan prowadzi roboty nafciarskie dla rządu włoskiego w Albanji.

Uśmiechnął się. Spojrzał po sali. Obecność jego przy stoliku miss Stockuell wzbudziła ogólne poruszenie. Obojętne mu to było. Jeszcze trzy dni, a będzie znów ładował się wraz z nowymi maszynami w porcie Brindisi. Braku sir Kandell'a na śniadaniu nie zauważył.



Jak to dobrze, że stanął przy stoliku kelner

Po śniadaniu szybko pożegnał się i wrócił do swego pokoju. Przespał się, wziął kostjum kąpielowy i powędrował na „Piccola Marina”, aby popływać, odświeżyć ciało. Zeszło mu prawie całe popołudnie na tych uciechach. Wieczorem, jak tylko zszedł na taras, podeszła do niego miss Stockuell i powiedziała:

— Szukałam pana całe popołudnie. Była wycieczka samochodem do Anacapri, do zamku Barbarossy.

— Żałuję bardzo, kąpałem się.

— Czemu mi pan nie powiedział? Byłabym chętnie poszła!

Rozwiódł zabawnie rękami. Gest wystarczył za odpowiedź. By wprowadzić inny pierwiastek do rozmowy, rzucił lekko:

— Zginął nam sir Kandell!

— Znajdzie się i to niebawem.

— Bardzo mnie ucieszy znalezienie tej zguby już chociażby ze względu na panią.

— Na mnie?

— I owszem na panią. Choćby dlatego, że będzie mogła pani porozmawiać.

— Tu wszyscy mówią poangielsku, nawet dorożkarze.

— Jest to nowość dla mnie.

— Dla mnie wszystko jest nowością. Wyspa ta, pan, Wezuwjusz dymiący, zatoka neapolitańska, Pompea.

— Powinna pani pojechać do Paryża.

— A pan tam jedzie?

— Już byłem.

— Jaka szkoda! Będę jednak miała dla pana niespodziankę i mam nadzieję, że pan mi nie odmówi.

— O ile nie będzie to sprzeczne z moimi zobowiązaniami...

— Niech pan zlekceważy sobie raz obowiązek. Trzeba przecież choć raz w życiu zrobić coś dla przyjemności.

— Miłe są słowa pani...

Czas był już zasiąść przy stole. Sala wypełniła się. Znow zaczęła się zwykła, uroczysta, hotelowa wieczerza.

— Tu siedzę!

Zawołała wesoło do starego, malutkiego jegomościa, Amerykanka. Chwyciła go za szyję. Serdecznie ucałowała.

— A to jest pan inżynier Leon Odrowąż.

— Bardzo mi przyjemnie... — oschle, ale po polsku odpowiedział stary, zasuszony, przysłępawy człowieczek. Kelnerzy błyskawicznie przynieśli nowe nakrycie. Zjawił się sam właściciel hotelu i giął się w pas. Było to zastanawiające. Inżynier przyjmował wszystkie te fakty bez specjalnego zainteresowania. Jadł metodycznie i nie wtrącał się w angielską paplaninę miss Stockuell. Stary człeczyna chrząkał, jadł niewiele, miast wina popijał mocną herbatę. Wreszcie zwrócił się do Odrowąza:

— Co się teraz dzieje w Polsce?

— Nie byłem już kilka miesięcy, nie mogę dać ścisłej odpowiedzi. — Jestem jednak pewny, że jest znacznie lepiej, niż gdzie indziej.

Z za dużych, rógowych szkieł wysunęły się bezbarwne, zimne oczy.

— Mówi pan, że dobrze, że lepiej, niż gdzie indziej, no to chwata Bogu.

— Jest pan już tak niedaleko, że mógłby zawadzić o Warszawę, Kraków, Poznań...

Myśl tę pochwyciła miss Stockuell: zdradziła się, że rozumie po polsku. Mówiła jednak po angielsku:

— Nie odmówisz mi chyba, ojcze i pojedziemy...

— Jeszcze nie mogę! — Kategorycznie odciął mały człowieczek... — Czekam na pilne, terminowe depesze.

Po kolacji Mister Stockuell poprosił na automobilową przejażdżkę po wyspie Odrowąża. Przy roslym murzynie-szoferze zasiadł cicerone miejscowy i ruszono w drogę.

Inżynier przyjmował zaproszenia, nie pytał jednak o nic. Gdy na wijącej się po skale nadbrzeżnej szosie zahuczała mała syrena — z morza odpowiedział jej ryk okrętu. Odrowąż mimowoli zwrócił uwagę na statek. O tej porze nigdy u brzegów Capri nie stoją okręty. Mister Stockuell wycedził przez zęby:

— To mój yachcik! Zgrabne cacko i zwinne.

— Papciu, daj mi tego inżyniera!

— Jesteś niemądra... chłodno odpowiedział mały, stary człeczyna.

— Trzeba się śpieszyć. Mówił mi kelner, iż w czwartek pan Odrowąż wyjeżdża...

— Znajdziesz sobie lepszego.

— Kiedy ja chcę tylko jego.

— Nie bądź uparta. Jesteś „stara dziewczyna“, a w głowie nic ci nie lepiej.

— Właśnie dlatego, sam mówiłeś, że najwyższy już czas, bym wyszła zamąż.

— Ale za odpowiedniego człowieka.

— Co, jeszcze ten inżynier nie jest odpowiedni? Lepszego gentelmana już nie znajdę. Przystojny, dobry pracownik, niezależny...

— Co to niezależny? Pracuje dla innych. Widać brak mu inicjatywy.

— I o tem pomyślałam. Dlatego ty musisz się z nim rozmówić.

— Ani mi się śni.

— No to ja to zrobię!

— Tegoby jeszcze brakowało.

Rozmowa nie podobąca się miljonerowi.

Stary pan dosyć oziębło powiedział córce na pożegnanie:

— Śpij zdrowo, — i udał się sam na spoczynek.

Pierwszy raz w życiu mister Stockuell miał nielada zadanie do rozwiązania. Załatwiał sprawy najtrudniejsze, nawet kryminalne, gładko, uprzejmie, bez wielkich wysiłków. Miał mocne nerwy, nic go nie wytrącało z raz powziętych zamiarów. Szedł cierpliwie, metodycznie; męczył krewkich, zapalonych przeciwników i zwyciężał. A zresztą w ostatnich latach robił to raczej z nałogu. Poco mu wszystkie powodzenia? Pracował już tylko dla Jane. Stare oczy już nie umiały radować się błyskiem gwiazd. Podniebienie nie odróżniało smaków. Sterane ciało największą przyjemność znajdowało w bezruchu.

Miał jeszcze ukryte marzenie. Chciał wrócić do Polski. Nie mógł. Ciężko nad nim niewykonany wyrok. Jako chłopiec popełnił zbrodnię i uszedł

za ocean w obawie kary. Nikt nie zna tej jego tajemnicy, nawet rodzona córka. I nazwisko jego prawdziwe „Stoczek“, pozostało wśród ciemnych spraw życia. Jako mr. William Stockuell, był za to przez długie lata znany wśród elity przemysłowej Stanów. Kaprys córki był mu nie na rękę. Chciał sprawą tak pokierować, by, nie robiąc przykrości córce, wyjść z sytuacji obronną ręką. Przedewszystkiem chciał grać na zwłokę. Jakże się jednak cmylił! Ledwie powitała się z nim Jane, już pytała:

— Mówiłeś z nim papo?

— Kiedyż miałem to zrobić? Dopiero co wstałem.

— Po śniadaniu zostawię was samych przy stole. Skorzystaj z okazji...

— Czy nie lepiej byłoby na yachcie?

— Nie odkładaj, proszę.

Przy śniadaniu zastali już Odrowąża. Jak zwykle powitał ich uprzejmie; nie interesował się jednak zbyt, poświęcał im tylko tyle uwagi, ile wymaga towarzyska grzeczność. Błękitno-oka panna patrzyła w niego z nabożeństwem. Nie pytowała, nie rozwodziła się nad wrażeniami, jakie zebrała z Włoch. Szybko wypila lekką kawę i odeszła na chwilę niby po zapomniany wachlarz.

Stary, mały człowiek o twarzy wygolonego orangutanga poprawił okulary na nosie, pociągnął dwa łyki mocnej herbaty i... zainicjował ważną rozmowę:

— Jaka szkoda, że pan już wyjeżdża. Miałem widoki, że zrobię z panem niezły interes.

Mister Stockuell spodziewał się, że inżynier będzie zaciekawiony tym wstępem. Kto nie chce zarobić? Niestety na twarzy Odrowąża malowała się absolutna obojętność. Nawet nie patrzył na staruszkę. W zatoce powracały białe mgiełki, wiatr na wodzie rozmiatał długie, gładkie drogi, inżynier błdził wzrokiem po morzu, niebie, omijając sylwetkę wulkanu zbanalizowaną i nieprzyjemną. Staruszek pociągnął jeszcze łyk herbaty, musiał dalej sprawę swoją wyłożyć.

— Pana nie zaciekawia mój interes? Jest to niezwykle zupełnie business. Podobał się pan mojej córce. Proponuję więc panu małżeństwo z nią na następujących warunkach: dyрекcję w moich zakładach i procent od stu pięćdziesięciu miljonów dolarów.

Odrowąż słuchał tej propozycji, jak niesamowitej bajki, opowiadanej przez czarownicę, przebraną w męski strój. Nic nie odpowiedział na razie. Mr. Stockuell rzekł więc:

— Przypuszczam, że moja propozycja jest do przyjęcia?

Inżynier przeczekał jeszcze chwilę i wolno odpowiedział:

— Niestety, nie mogę...

— Jakto nie może pan? Mamy informacje, że jest pan kawalerem. Rzym przesłał dziś rano wszystkie materiały dotyczące pańskiej osoby.

— Tak, ale są jeszcze inne okoliczności.

— Proszę, niech mi pan powie o nich...

— Odłóżmy rzecz lepiej do innego razu...

Mr. Stockuell był niezadowolony z tych odpowiedzi krótkich, wymijających. Naogół wołał jednak, że sprawa zwleka się, był to jego przecież zamiar. Przeszedł więc na temat wyjazdu inżyniera.

— Wiemy, że w czwartek jedzie pan do Brindisi...

— Zapewne przyjdą już maszyny. Trzeba je będzie przeładować i ruszać na robotę.

Błękitnooka blondynka przyszła wystrojona w rozkoszne, białe



Stary mały człowiek o twarzy orangutanga poprawił okulary na nosie

jedwabie. Karminowe usta świeże, ślicznie zarysowane, kraśniały, jak goździk polny. Skorzystał z tej okazji Odrowąż i pożegnał się: jak zapewniał, musiał napisać kilka pilnych listów.

Miss Jane, pytała ojca o rezultat rozmowy:

— Niestety, jest już zaręczony... — skłamał stary, mały człeczyna.

— To nieprawda... — odrzuciła z dąsem.

— Albo na to wychodzi. Czyż nie wszystko jedno, jaki jest powód?

Dosyć, że odkłada decyzję na dalszą przyszłość.

— Ładnie mnie urządziłeś! gdybym wiedziała, rozmówiłabym się sama.

— Możesz to zrobić jeszcze... — wymijająco, obojętnie powiedział.

— Słuszną myśl. Idę sama rozstrzygnąć mój los.

Zerwała się od stolika i, nie zwlekając, pobiegła do pokoju Odrowąży. Szykował się, by pójść do morza. Robił to jakoś niezręcznie. Po głowie błędziły mu różne refleksje. Propozycja amerykańskiego Polaka-miljonera była dosyć egzotyczna, lecz właściwie czego ma szukać więcej w życiu.

Wtem otworzyły się drzwi i zobaczył zaróżowioną i jakby złą twarzyczkę miss Jane.

— Proszę uprzejmie, nie rozumiem, co pan sobie myśli! Mój ojciec proponował panu moją rękę!

— I owszem... ale może pani usiadzie?

— I co mu pan odpowiedział?

— Że jestem chwilowo zajęty.

— To jest obraza — nie odpowiedź. Jest pan kawalerem?

— Jestem... — odpowiedział jak echo inżynier.

— Ma pan kochankę?

— Pozwoli pani, że nie odpowiem.

— Musi mi pan odpowiedzieć. A wreszcie ma pan jakąś kobietkę! Bardzo dobrze. Nic mnie to nie obchodzi. No to rozstanie się pan z nią, bo pojedziemy do Ameryki.

— Kiedy ja nie chcę jechać za ocean.

— To ja pojedę, gdzie pan będzie — przecież wszystkie drogi są otwarte.

— Ja wogóle nie chcę wyjeżdżać z Europy.

— Nie bądź pan dzieckiem. A zresztą możemy mieszkać choćby w Albanji. Wystarczy jednak, że pan pozna komfort naszego pałacu w Detroit, a nie zechce się pan z niego ruszać.

Odrowąż stał ogłuszony, bezradny. Jane dalej mówiła:

— Gdzie się pan teraz wybiera?

— W tej chwili?

— Tak!

— Do morza...

— Ślicznie! Pojedziemy zrobić wycieczkę naszym yachtem. A może pan woli, że go powieziemy aż do Brindisi.

Inżynier nie wiedział, co począć.

— No, to daję dyspozycję: pojedziemy do Brindisi! Niech pan każe zapakować kufry. Dosyć mam tej niemądrej wyspy i widoku na Wezuwjuż!

Wykręciła się na obcasie i wybiegła.

Nie wróciła jednak do ojca, który cierpliwie czekał na nią na tarasie hotelu, zapijając mocną herbatę. Jak strzała wpadła do swego pokoju i, zamknawszy mocno drzwi, zawołała na głos:

— Musi być mój!

Pokój wydał się jej za mały na przyjęcie takiej wieści. Podeszła do

okna. Otworzyła je naoścież. Spotkała gałęzie pomarańczy, pnące się do twarzy. Urwała kilka liści, przytuliła się twarzą do nich, pocałowała je i szybko schowała za gors. Pomyślała przytem:

— Wplotę te liście w mój wieńiec ślubny.

*

*

*

Inżynier Leon Odrowąż przyjechał do Warszawy wraz z żoną, by znaleźć dla dolarów firmy Stockuell and Comp. odpowiedni teren do pracy. Nie przyszło to trudno: tyle jest przecież możliwości eksploatacyjnych dla mądrego kapitału w Polsce. Pani inżynierowa z dnia na dzień odkrywa piękno nieznanej ojczyzny męża i ojca. Nieustannie dziwi się przytem:

— Co, w Krakowie jest teatr? Wawel był siedzibą królów? Czyżby Warszawa miała już milion mieszkańców?

Razi trochę na warszawskich salonach, ale nie przeraża, bo wdzięczny jest jej uśmiech, a oczy stale ma utkwione w mężu. Byli już w Zakopanem. Śniegiem pokryte Tatry i na nią rzuciły swój urok. Powiedziała nawet do Odrowąza:

— Byłoby pięknie mieć tutaj willę.

— Będiesz ją miała... — zgodził się natychmiast i objął ją ramieniem.

— Tylko prędko, bo chcę do niej jeszcze ojca zaprosić...

— Zrobimy to po amerykańsku...

— All right! Słowa te wiążą mię z tobą. Są to pierwsze twoje słowa gorące, dobre, oczekiwane.

Capri, czerwiec 1927 r.



— Są to pierwsze twoje słowa gorące, dobre, oczekiwane...

Kobieta na ekranie

Napisał

Janina Stefańska

„Kocham dwie nóżki, zachwycające, pełne wdzięku nóżki. Piękna, miła i powabu pełna jest ich posiadaczka. Nie ją jednak kocham. Ale kocham jedynie dwie smukłe nóżki, misternym dźwiękiem największego artysty wyczelowane. Wiele pięknych nóżek znam na świecie: takie, które trzepocą się nerwowo na sali dancinów i takie, które zdobywają wszystkie głosy na konkursach... Ale kocham tylko jedno — te pełne zmysłowego czar, inteligentne, tak wiele mówiące — nóżki królowy... Kocham te prężne biodra, dumnie przezierające przez pajęczą sieć jedwabiu i te kragle kolanka, grające symfonią wielu obietnic... Kocham tę wymodulowaną linię nóg, radośnie rozśmianą przy wtórze jedwabnej pończoszki. Kocham tę maleńką stópkę kopcuszką — naiwną stópkę dziecka, bezradnie stawiającego pierwsze kroki na arenie życia. Kocham tylko dwie nóżki, nóżki... Lily Damity (Fritz Koebner, Film Kurrier”).

Ta oda do nóżek Lily Damity jest równocześnie odą do kobiety wogóle, jest raczej, ściśle biorąc, odą do jej pierwiastka zmysłowego. Jeżeli bowiem kobieta jest ośrodkiem, dookoła którego kręci się oś filmu, to treścią tego ostatniego rzadziej bywają duchowe jej zalety, lecz raczej zmysłowe. Film bowiem chętnie porusza się na peryferji rzeczywistości, skacząc z bieguna Dobra na bieguna Zła, wybierając za bohaterkę kapłankę zmysłów lub świętą, wcieloną Djablicę czy Anioła. Pomiędzy temi biegunami niewiele tylko miejsca poświęca film zwykłemu przejawowi życia, z jego codziennością szlachetnymi przejawami, słabościami i grzeszkami. Sentymentalność, której film stara się użyć jako pomost, łączący te bieguny, rzeczywistości nie zastąpi. Bądźmy jednak sprawiedliwi, winien temu widzi, któ-



*Elsie Tarron,
artystka pełna czaru i wdzięku*

ry oglądać chce właśnie coś niezwykłego, odbiegającego od szarej codzienności. Ze strony filmu następuje zresztą również i pod tym względem reforma. Film już okrzepł, zapewnił sobie byt, może więc pozwolić sobie na eksperymenty, które sprowadzają go coraz bardziej na drogę rzeczywistości.

Dotychczas jednak przeważają stanowczo typy „wyraźne”, o ostrych konturach, przy czem na pierwszym miejscu uwidocznią się pierwiastek zmysłowy.

„Biała Niewolnica” — motyw tak chętnie rozgrywany pod różnemi nazwami mniej lub więcej sensacyjnymi — czy wywołuje u nas uczucie litości, czy uczy pogardzać otoczeniem, które ją niewolnicą zrobiło? Być może tu i owdzie pokaże się na widowni skromna lezka, lecz jakże szybko otarta na widok rozkosznych salonów i kosztowności, wśród których rozgrywa się akcja. Pozwólcie, czytelnicy, przypomnieć sobie treść jednego z filmów, granego w Warszawie, który może być typowym przykładem dla tego rodzaju kategorii filmów.

„Właściciel teatryku „Nouveau Eden” jest pełen troski na widok pustej widowni; której niezdolna jest już zapelnąć nie pierwszej młodości primadonna Ninette. Zaradzi temu



Greta Garbo i jej maleńki przyjaciel



Nowoczesna „chłopczyca”

stary bywalec teatralny, wicehrabia de la Roche de Maudry, odnajdując nową diwę, Celimenę — dziecko Montmartru. Sprawa załatwiona: Duval ma zapewnioną kasę, wicehrabia — serce. Powodzenie niesłychane. Klejnoty, kolacyjki z szampanem, toalety. Z pośród wielbicieli wysuwa się na czoło Miles Seward, attaché angielskiej ambasad (funtyl...). Porównanie starego hrabiego z młodym dyplomatą wypada oczywiście na korzyść tego ostatniego. Taki przebieg sprawy popiera zresztą dawna przyjaciółka hrabiego, Germaine, której doświadczenie i przebiegłość zmagają się z krasą liczek i smukłością nóżek Celimeny. Rezultat walki wątpliwy. Ale na pomoc Germaine przychodzi rodzina dyplomaty, która zaklina go na honor rodziny i własną karierę, aby powstrzymał się na tej drodze. Czeką go również narzeczona (nawiasem mówiąc, mocno urodą i powabem ustępująca Celimenie, czy to umyślny kontrast?...). Nic go jednak nie zdoła odwieść od chęci ożenienia się z Celimeną. Propozycja zaskoczyła ją zresztą. Jest wprawdzie przyzwyczajona do częstej zmiany „przyjaciół”, ale o ślubie nikt jej jeszcze nie mówił. Nie wie, czy potrafi spełnić rolę żony, być może też jest niepewna czy więzy małżeńskie zdołają oprzeć się burzliwej krwi artystycznej. Następuje parodiowe zerwanie. Lecz nici się nawiązują tym razem na dobre. Zdaleka od ciekawych ludzkich oczu wiodą uroczą idyllę nad morskim wybrzeżem. Celimena zdaje się być tu inną istotą, starając się z możliwym wdziękiem wypełnić rolę wiernej małżonki. Cóż, kiedy obowiązki wzywają dyplomatę do Paryża. A tu życie tak jednostajne! Żeby przynajmniej w pobliżu Monte-Carlo! I oto zaczynają powtarzać się z coraz większym uporem sny o dawnych triumfach, oklaskach, rozognionych oczach mężczyzn, szampanie... Ach, gdyby tak raz jeszcze się naprawdę zabawić, ot tak troszeczkę tylko, a potem wrócić tutaj z powrotem! Djabła nie należy kusić, nawet i w myśli, bo oto sąsiednią willę kupił... hrabia de la Roche. Na wydany bankiet proszona jest oczywiście Celimena. Wesole towarzystwo, szampan robią swoje, niedawna przeszłość burzy się i przelewa, znajdując ujście w bachicznym tańcu. Tymczasem Miles oczekuje na próżno w domu. Mija północ, gdy przypadkiem do-

strzeżony list zradca miejsce pobytu kochanki. Jak pijany wyrusza w drogę Miles, nie bacząc na śnieżycę, zatacza się pod naporem wiatru czy też bólu, wreszcie wynurza się z ciemności nocy jasno oświetlona willa „Paradis”. I oto widzi przez okna nawpół obnażoną kochankę, tańczącą u boku hrabiego. Nie panując nad sobą, wpada do salonu. Patetyczna scena dwóch rywali, rozterka duchowa Celimeny. Miles wypada zpowrotem, nie wiedząc, że w parę chwil później pobiegła za nim w ciemną dal kochanka. Zmaganie się z wiatrem i rozpacz powaliły jednak z nóg Celimenę. Zabłąkany samochód znajduje ją w ciemnej alei i odwozi zpowrotem do willi „Paradis”. Gorączka, zapalenie płuc. Celimena błaga hrabiego, by przyprowadził Miles'a, któremu poświęca ostatni blask oczu, by za chwilę zamknąć je na wieki...”

Pozornie więc wszystko w porządku — jest to jeszcze jedna „Dama Kameljowa” Dumas'a. Ale czy rzeczywiście tak często powtarzają się te typy? Chyba nie. Film tymczasem zna tylko „Damy Kameljowe”.

Jeżeliby zresztą ktoś wątpił jeszcze, że do najbardziej ulubionych tematów filmowych należały przed laty jeszcze tematy, zaczerpnięte ze środowiska półświatka, to wystarczy przytoczyć kilkadziesiąt tytułów, zebranych w krótkim czasie przez prof. Brunner'a z afiszów berlińskich. Są to warjanty na temat: „Biedne, piękne dziewczyny”, „Miłość, która jawnie się oddaje”, „Sodomia i Gomora” i t. p.

*

Do typów, w których lubuje się kino, należy bezsprzecznie kobieta-wampir, zwany w Ameryce krótko „vamp'em”, skąd przeszedł do polskiej literatury kinowej.

Straszna to kobieta! Jest to istota, która, niczem wąż-boja, oplata mężczyznę swemi zwojami, a gorzej od węża, bo jak pająk wysysa jego serdeczną krew. I na nic ci się, kochany czytelniku, nie przydała ostrożność, rozsądek i inne cnoty: kobieta-wamp, gdy raz zastawi na ciebie sidła, jesteś bezpowrotnie stracony. O, niewidoczne to najpierw sidła! Jakież lekkie, powłóczyście spojrzenie, trwające zresztą krótko, władczy wzrok i... jesteś gotów. Teraz wleczesz się u jej nóg, kopany i poniewierany. Nastę-



*Norma Shearer
z pluszowym niedźwiadkiem*

puje moment wysysania krwi, małemi zresztą z początku dawkami, ale w miarę jak widzisz, że „wamp” zabiera się do innej już ofiary, chcesz potwora przebłagać, ofiarując mu większe dawki.

Znajdziemy tu zresztą świetne artystki, reprezentujące ten kierunek z całą gamą odcieni. Kierunek, powiedzmy, psychiczny reprezentuje Asta Nielsen, która znalazła świetne pole do popisu w sfilmowanym „Duchu Ziemi” i w „Puszkach Pandory” Wedekinda. Niema tu właściwie dramatu, lecz upostaciowanie erotyki. Całą treścią filmu jest Asta Nielsen, kokietująca sześciu mężczyzn, flirtująca i uwodząca. Treścią filmu, jak wyraża się Bela Balaza, jest erotyczne promieniowanie tej kobiety, przedstawiającej nam całą gamę zmysłowej miłości. Ponieważ jednak z istoty filmu wynika wyłączenie dialogu, wobec tego na ogół artystki zastępują go mimiką. Otóż wyższość gry Asty Nielsen polega na uduchowieniu erotyki. Oczy zastępują tu ciało.

Szczupłość tej artystki sprawia, że widzi się tylko jej palące, wielkie oczy i usta. Asta Nielsen nigdy się nie rozbiera, nie pokazuje nóg jak Anita Barber, a jednak ta ostatnia jest dzieckiem tylko w sztuce gry zmysłowej w porównaniu z nią. Lulu, całująca mężczyznę, którego zastrzeliła, działa potężniej, niż taniec brzucha Anity Barber.

Gdzie znajdzie się kobieta, która raz w życiu przynajmniej nie zechciałaby być wampirem! Żeby raz przynajmniej widzieć mężczyznę, tarzającego się u swych nóg, błagającego o litość!

Na niższym stopniu stoi film „Młoda krew”, w którym rolę typu Lulu gra słynna gwiazda, Lya de Putti. Tutaj już gra oczu nie wystarczyła, potrzebne były bardziej uchwytne akcesoria buduarowe, z rozbieraniem się włącznie, jako siła wampira. Ofiarą jej stał się młody maturzysta, który przybył do wielkiego miasta z głębokiej prowincji. Biedny chłopiec nie może zrozumieć.



Mary Philbin karmi swego kota



Znakomita nasza rodaczka Pola Negri, mistrzyni pocałunku filmowego

fol. „Fanamet”

dlaczego tak szybko skończył się jego sen. To też goni za nią bezskutecznie. Koniec: nieostrożne pociągnięcie cyngla rewolweru powoduje śmierć bohaterki. Wampir ginie z ręki swej ofiary.

Czy przypominacie sobie wreszcie Lucie Doraine, fachowego „wampa”? Np. w „Księżę i śpiewaczka”? Urodzona uwodzicielka z namiętną lubieżnością pozostawia za sobą wszędzie trupy i zgłiszcza. Gdzież leży ta straszna broń, którą kobieta ta operuje? Ot, tylko oczy jej i cudowne plecy. O, naiwni, jest to właśnie broń bardziej niebezpieczna, niż szpony tygrysa, bardziej zjadliwa, niż ząb żmii lub pazur skorpiona!

Wreszcie Nita Naldi. Ta „stuprocentowa

wampirzyca” — to uosobienie diabła samego. Nie wysila się nawet na jakąś kokieteryję, bynajmniej! Z wysokości swej postaci (nie mówię tu wcale w przenośni!) rzuca pogardliwe spojrzenie na mężczyznę. i gotowe. Taka ofiara topnieje jak śmietankowe masło na Saharze lub tłuszczy otyłej kobiety w parafinie.

Cóż to za straszne kobiety być muszą w życiu prywatnem!

Oto wywiad z Lyą de Putti (Mein Film):

„Boli mnie to, że zmuszona jestem grać w tutejszych wytwórniach (Hollywood) rolę kobiet-uwodzicielek, wampirów i wogóle złych kobiet. Nie czuję wcale powołania do „wampirowania” (nie wiem, czy wielu

naïwnych w to uwierzy! — przyp. autora). Kiedy o tem głośno zapewniam swoich reżyserów, ci wskazują jako argument „Variété”. Ich zdaniem grałam tam rolę „studentowego wampira”. W dalszych wywiadach twierdzi nasza gwiazda, że grała tylko rolę młodego, niezaradnego dziewczęcia, Jannings zaś grał silnego człowieka. „Jeżeli więc porzucił dla mnie żonę i dzieci, to czyż ja, niewinna dziewczynka, mogę za to odpowiadać?” Nie, nie, uspokój się, dziewczynko, masz zupełną rację, to on zrobił z ciebie wampira. To zupełnie, jak z tą myszką. Czy to kota wina, że pokazała się mysz? Nie, to ona winna, że została przez kota zjedzona.

„A potem — mówi Lya de Putti — zostaję sama w pokoju z tym „drugim”, no i... czy to moja wina, że tak się stało?”

Bynajmniej, słodka gwiazdeczko, to owieczka temu winna, że znalazła się obok wilka. Następnie skarży się artystka, że przed-

stawiają ją publice jako złą kobietę, a przecież ona zdolna byłaby tylko do roli syreny. Zresztą pragnie dowieść Ameryce, że jest wszechstronną artystką.

Okazuje się jednak, że i wampir musi przejść pewien trening, zanim uda mu się spełnić swoje posłannictwo. To też Lya de Putti twierdzi, że nauczyła się w Ameryce wielu już rzeczy. Przedewszystkiem młodości i zgrabności! Nietylko więc po dolary jeżdżą tam ludzie!

Oskarża się dalej nasza bohaterka, że przed przyjazdem do Ameryki była gruba jak beczka, ale teraz jest na ścisłej diecie, nic nie jada, nie czuje się przytem wcale głodna. W nagrodę za to jest zgrabna, smukła i wesoła.

Cóż powiecie państwo na tę krzywdę, jaką wyrządzają ludzie tej niewinnej i wesołej z przyrodzenia istocie? Chciałoby się wprost płakać nad jej losem! A może to zresztą tylko podstęp „wampa”?



Carmel Myers gości swe filmowe koleżonki: Irene Mayer, Bessie Love, Sylwję Thalberg i Alice Lawrance.



Norma Talmadge, artystka, należąca do „arystokracji” filmowej

fol. „Fanamet”

Przejdźmy do Nity Naldi.

Nie mam wprawdzie pod ręką jej życiorysu, ale czyż tu chodzi o chronologię? Oczywiście, nie. Lepiej będzie przedstawić jej własny pogląd na kwestję: „Jak należy postępować z mężczyznami”. Każdy to może przeczytać w „Kinie dla wszystkich”, a przecież co to za cenne mogą być wskazówki dla biednych jej ofiar!

Ni mniej, ni więcej, tylko wskazówki te ujmuje Nita Naldi w formie dziesięciu przykazań, z których pierwsze brzmi:

„Bądźmy pobłażliwe dla drobnych usterek naszych mężów i zaniechajmy chęci poprawienia ich”.

Uszom własnym wierzyć się nie chce, żeby to miały być słowa wampirzycy. Po drugie: „Nie narzucajmy się z pieszczotami, pozostawmy inicjatywę mężowi”. To być może zwykły tylko podstęp, więc przejdźmy do trzeciego przykazania: „Nie brońmy mu używania cocktail’ów (w Polsce „mocnej”, w Rosji „oczyszczanej” — przypisek

autora) i gry w karty, gdyż w przeciwnym razie będzie tego szukał poza domem” i t. d. i t. d.

W sumie znajdziemy tam połowę rozsądnych rad, na które każdy mąż może się podpisać, drugą zaś połowę cechuje niezwykła chytryść i przebiegłość, właściwości każdej wampirzycy.

Nita Naldi nie przekonała mnie i w dalszym ciągu muszę uważać ją za „stuprocentowego wampa”.

Ale dosyć już tych zepsutych, drapieżnych kobiet, otrząśnijmy się z nich i spojrzmy w oczy kobiety - anioła, Liljany Gish, która jest uosobieniem najtkliwszej i najczystszej kobiecości. Wogóle jest to artystka tak ubóstwiana, że ktoby ośmielił się zarzucić jej jakąś drobnostkę, np. że środkowy palec ma za krótki w stosunku do pozostałych, człowiek ten mógłby się słusznie narazić na miano krety. Dlatego też, objaśniając czytelnika o jej pochodzeniu, powołam się naprzód jako na źródło na pe-

wien niemiecki tygodnik filmowy, któremu Liljana Gish udzieliła wywiadu. Otóż okazuje się, że potwierdza już dawniej krążącą pogłoskę, iż w jednym z licznych sklepów w New-Yorku sprzedawała ryby. Ale zaraz dodaje, że to jej bynajmniej nie zaszkodziło w karierze filmowej i że wogóle praca nie hańbi. Należy tylko przyklasnąć tym zasadom i jako podłe insynuacje uznać, jakoby oczy jej miały przypominać nieco owe ryby. Przeciwnie, oczy jej naiwne, wielkie oczy, uszlachetniają nie tylko widownię, która dramat przeżywa, ale podobno nawet jej partnerów. Dość powiedzieć, że nawet sam Ronald Colman miał oczy pełne łez, gdy klęcząc całował rąbek szat zakonnych świetlanej Liljany (ostatni akt „Białej Siostry”). Nic w tem zresztą dziwnego, gdyż, jak sama wyraża się o sobie, „płacze lub śmieje się sercem, a nie mózgiem”.

Liljanę Gish „odkrył” wielki mistrz reżyserji, D. W. Griffith, który, spostrzegłszy w towarzystwie Mary Pickford słodką twarzyczkę Liljany, bez namysłu zaangażował ją do filmu. Pod jego też kierownictwem zabłysła na cały świat jako pierwszorzędną gwiazdą w filmach „Złamana Lilja” i „Męczennica miłości”.

Na dobro tej artystki zapisać należy uznanie, z jakim wyraża się o swym mistrzu, któremu, jak sama zaznacza, wszystko zawdzięcza. Niestety, Griffith'owi zabrakło dolarów, „słodka więc i wdzięczna uczennica” porzuciła go dla innej, bogatszej firmy, nie przestając zapewniać, że powróci do niego, skoro tylko mistrz stanie się... zasobniejszy w dolary.

Gra Liljany odznacza się zupełnem opowaniem akcji, i to w najdrobniejszych szczegółach. Niema tam tego pośpiechu, cechującego grę innych artystek. Każde rozłożenie rąk, każde załamanie palca jest szczegółowo wystudjowane, przez co zresztą akcja bynajmniej nie traci na świeżości. Zresztą skąpość gestów cechuje właśnie jej grę, odznaczającą się poza tem dużym liryzmem.

*

Poza temi trzema typami kobiet, spotykanymi na ekranie, istnieją naturalnie i inne, stanowiące pośrednie stadja pomiędzy

temi zasadniczymi. Nie mają one jednak większego znaczenia w sztuce filmowej, narazie więc pozostawimy je na uboczu.

A teraz słów parę o ideale piękności kobiecej na ekranie, uroda bowiem dla artystki filmowej jest zgoła czemś istotnem. Nie musi to być koniecznie konwencjonalna buzia, o banalnie ładnych rysach, musi raczej w niej być coś, co działa fascynująco na mężczyznę. Kiedy artystka traci urodę, wtedy biada jej — ginie bezpowrotnie dla ekranu. Wiedzą o tem wielkie i małe gwiazdy i niema zdaje się środków, którychby nie używały celem zapewnienia sobie dłuższego trwania swych powabów. Tem bardziej, że gwiazdy nasze świecą zazwyczaj krótko, zastąpione przez nowe, i pod tym względem należałoby raczej porównać je do komet.

Rzecz nie do wiary wydają się nam amerykańskie kontrakty artystek. Przedsiębiorca zastrzega sobie np., że kontrakt może być rozwiązany w razie widocznego uszczerbku w urodzie artystki. Niekiedy tej ostatniej stawia się jako warunek zaangażowania pewne zabiegi kosmetyczno-operacyjne. To też los naszych bohaterek nie zawsze jest do pozazdroszczenia. Są to raczej niewolnice swej urody, głodzące się i trenujące celem utrzymania smukłości swego ciała. Smukłość bowiem jest pierwszym warunkiem filmu.

W samej rzeczy obiektyw aparatu kinematograficznego posiada tę złośliwość, że wszystkie cechy twarzy i figury oddaje w stopniu wzmocnionym. Nieco pulchniejsza noga wychodzi na ekranie jak „noga słonia”, zakrzywiony lekko nos staje się haczykowatym i t. p.

Wreszcie, piękne oczy stanowią jeden z ważniejszych warunków powodzenia. Najlepiej wychodzą oczy ciemne, im ciemniejsze — tem lepiej, gdyż jasne w słabym tylko stopniu pobudzają emulsję kliszy fotograficznej, pozbawione promieni aktywnych

A zresztą pomocne w powodzeniu są artystkom amulety. Któraż z nich bowiem nie posiada swego!

Więc Liljana Gish nosi stale ze sobą małego gнома w czerwonej sukmance, Colleen Moore zaś kulkę ze słoniowej kości, pochodzącą z Indyj i t. p.



Iris Raminy, piękna wiedeńska, która, posiadając własny prywatny samolot, korzysta zeń w sposób praktyczny na szeroką skalę. P. Raminy jada np. śniad w Wiedniu, a na podwieczorek udaje się do Mediolanu

Filmowanie pianistów

Wiemy, że szesnaście obrazów na minutę daje normalne tempo zdjęć, a przy wyświetlaniu — odpowiednich szesnaście projekcji kinematograficznych. Tempo szesnastu obrazów na minutę, to znaczy w praktyce dwa obroty korbą operatora zdejmującego obraz, odpowiadające dwu obrotom operatora wyświetlającego film. Możliwe są modyfikacje tego tempa zasadniczego. Chcąc np. otrzymać na ekranie akcję przyspieszoną, wystarczy przy zdejmowaniu obrazu tempo obrotów — zwolnić. Wtedy zdejmowana akcja rzeczywista będzie szybciej „uciekała”, rejestrowanie jej przebiegu będzie mniej szczegółowe, bo mniej w czasie „gęste”, a skutkiem tego przy wyświetlaniu (w normalnym tempie) ruch jej wyda się przyspieszony. Przyspieszenie to będzie częściowo musiało iść pobieżnie i kosztem doskonałości złudzenia.

Ale co będzie, jeżeli przy zdejmowaniu obrazu operator zwiększy ilość obrotów? Wtedy — teoretycznie — więcej będzie zdjęć, każda normalna faza ruchowa będzie rozdrobiona na części, szczegóły będą chwytywane z wielką dokładnością, przy wyświetlaniu (w tempie normalnym) projekcja na ekranie będzie wydawała się zwolniona. Na tem zjawisku polega znany każdemu



Ręce Rubisteina

film w tempie zwolnionem — *film ralenti*. Omyłką jest więc mniemanie, że film w tempie zwolnionem — to poprostu film „wyświetlany powoli”, — jest to natomiast film „zdejmowany prędko”, a wyświetlany normalnie.

Jednak „zdejmowanie prędkie” nie jest poprostu kwestią przyspieszonego ruchu korby operatora. Normalny aparat znosi do pewnego stopnia przyspieszenie tempa zdjęć, ale na przyspieszenie znaczniejsze, np. dziesięciokrotne, normalny aparat nie wystarcza z powodów konstrukcyjnych i optycznych. Osobne aparaty do filmów „zwolnionych” są w stanie robić po 160 zdjęć na minutę, t. zn. dziesięć razy więcej, niż w normalnie wyświetlanym filmie, są więc dziesięć razy dokładniejsze w rejestrowaniu szczegółów czasu - ruchu, a (przy normalnym tempie wyświetlenia) dają obraz o dziesięć razy wolniejszym tempie przebiegu, niż tempo rzeczywistości.

Znamy wszyscy filmy w tempie zwolnionem. Wiemy, że ruch przy wynaturzeniu jednego ze swych współczynników, mianowicie czasu, — przedstawia się dziwnie, nieprawdopodobnie, a nawet intrygująco. że zdaje się szydzić z poczucia równowagi, statyki, ciężkości. Żongler zdaje się igrac nie kulami, tylko bańkami mydłanymi, człowiek chodzący zdaje się co chwila wisieć w powietrzu, narciarz w podskoku zdaje się wniebowzięty...

Od niedawna dopiero zastosowano kinematograf do gry fortepianowej. System obserwacyjny jeszcze dziś nie jest dosta-



Ręce Wandy Landowskiej

Gwiazdy olbrzymy i karły

Napisał

M. Białecki

Żadna z nauk nie święci takich triumfów jak astronomia, a szczególnie jedna z jej dziedzin — astrofizyka, zajmująca się badaniem przyrody fizyko-chemicznej gwiazd.

Szczególnie płodne w wyniki okazało się ubiegłe 25-cio lecie, w którym to okresie astrofizyka niemal z każdym rokiem zdobywała coraz potężniejsze środki do badania natury energii gwiazd.

Jeszcze nie tak dawno mniemano, że rozwój gwiazdy zaczyna się od ciała gazowego o wysokiej temperaturze, która powoli się zmniejsza przez promieniowanie energii w przestrzeń, a kończy się bryłą ciemną, pozbawioną energii świetlnej.

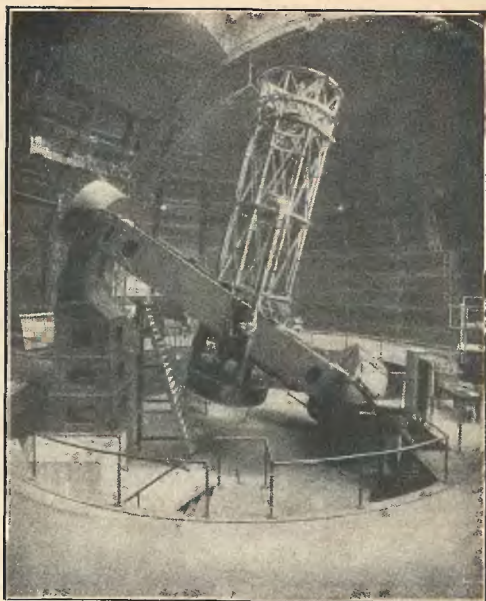
Atoli nowe badania wybitnych astronomów jak: Hertzsprung'a, Schapley'a, Edington'a i Russell'a, a przeważnie tego ostatniego w sposób radykalny zmieniły nasze dotychczasowe zapatrywania na rozwój gwiazd.

Dzięki pracom Russell'a powstała nowa teoria rozwoju gwiazd, która w zadziwiający sposób zgadza się z wynikami obserwacji.

Gwiazdy, obserwowane przez największe współczesne lunety, przedstawiają się w postaci małych, jasnych tarcz. Na tej więc drodze nie można było dojść do jakichkolwiek bądź wyników co do istotnych rozmiarów gwiazd. Dopiero badania układów gwiazd podwójnych, tj. ruchów dwu słońc około wspólnego środka ciężkości, wywołane ciążeniem obu mas ku sobie, lub też stosowanie spektroskopu do układów podwójnych ściślejszych, pomogło obrachować ich rozmiary rzeczywiste.

Wyniki tych badań były bardzo ciekawe, a jednocześnie nastroczały poważne trudności w wysnuwaniu wniosków o porządku ewolucyjnego rozwoju gwiazd.

Okazało się, że pod względem rozmiarów gwiazd panuje wielka różnorodność. Obok



Największy reflektor na świecie o średnicy zwierciadła 2½ m. w obserwatorium na górze Wilsona (Kalifornia)

gwiazd, które swymi rozmiarami znacznie przewyższają nasze słońce, istnieją ciała wiele razy mniejsze od niego.

Ponadto, wbrew dawniejszej klasycznej teorii rozwoju gwiazd, według której gwiazdy białe, gorące — to najmłodsze słońca, a gwiazdy czerwone, stygnące — starzejące się globy gwiazdne, nowa teoria z gruntu zmienia ten porządek rzeczy.

Aby znaleźć wyjście z tego trudnego zadania, Russell zwrócił główną uwagę przy opracowywaniu swej teorii na blask absolutny, masę i gęstość gwiazd.

Dwie napozór luźno związane z sobą grupy gwiazd — gwiazdy olbrzymy i gwiazdy karły złączył on z sobą w jedną nierozrwalną całość ewolucyjną, czyniąc istną rewolucję w naszych pojęciach o przyrodzie gwiazd.

Ta nowa teoria jest jakby natchnioną syntezą rozmaitych wyników badań nad strukturą mas gwiazdnych.

Według nowej teorii rozwoju, gwiazda zaczyna swe życie jako olbrzym o niskiej temperaturze i małej gęstości, 2000 razy mniejszej od gęstości Słońca, a niekiedy ta gęstość jest równa gęstości naszej atmosfery.



Nowy reflektor o średnicy zwierciadła 1.82 m. w obserwatorium astrofizycznym w Wiktorji (Kanada)

ry. Z biegiem życia kosmicznego wskutek promieniowania gwiazda kurczy się, następstwem tego jest wzrastanie temperatury i gęstości i zmiana barwy od czerwonej do niebiesko-białej. Gwiazda wówczas osiąga największą temperaturę od 15 do 20.000° C.

To są gwiazdy olbrzymy. Do nich należą przeważnie najjaśniejsze gwiazdy nieba, jak: Betelgeuze, Arktur, Capella, Canopus, Antares i wiele innych.

Wzrastanie temperatury odbywa się póty, póki materia gazowa gwiazdy jest bardzo rozrzedzona, i po osiągnięciu maximum temperatury, gwiazda kurczy się i gęstnieje, a barwa niebiesko-biała przechodzi w żółtą i czerwoną. Gwiazda przechodzi skalę widmową w odwrotnym kierunku jako karyk starzejący się i wkońcu przeistacza się w ciemną i zimną bryłę.

Według tej teorii ewolucji olbrzymów i karłów nasze Słońce w obecnej swej fazie jest żółtym karłem, znajdującym się na schodzącej gałęzi temperatury i typu widmowego, a z innych gwiazd: Procyon, Syriusz i jego mały towarzysz, którego gęstość jest 50.000 razy większa od gęstości wody!!

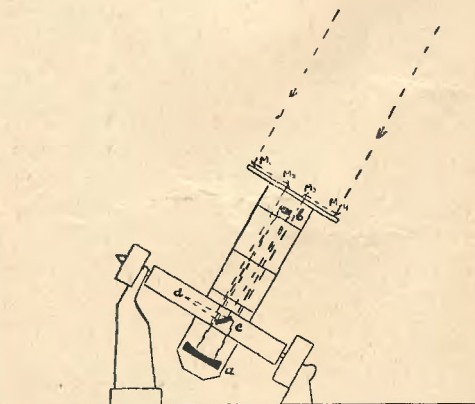
Rozwój każdej gwiazdy możemy sobie

przedstawić w postaci dwu gałęzi: wschodzącej, do której należą gwiazdy olbrzymy, posiadające ogromne rozmiary, wysoką temperaturę i duże masy, ale rozrzedzone znacznie i schodzącej, — obejmującej gwiazdy karły o znacznej gęstości i niskiej temperaturze.

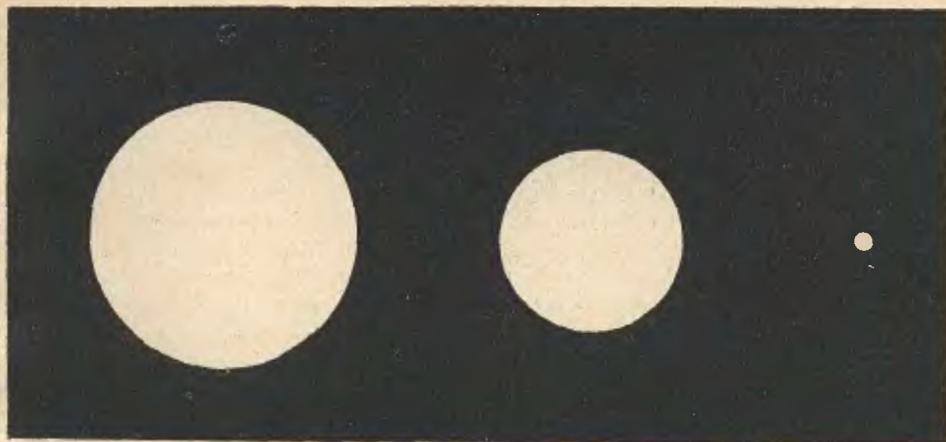
Obecność gwiazd olbrzymów i karłów została stwierdzona przez Adams'a w obserwatorium na górze Wilsona (Kalifornia) z pomocą metody spektroskopowej, a szczególnie przez Michelson'a i Pease'go pomiarem średnic gwiazd olbrzymów metodą interferencyjną.

Już dawniej czyniono wielokrotne próby zmierzenia średnic gwiazd, lecz napróżno. Największe współczesne lunety nie mogą nam pokazać prawdziwych rozmiarów gwiazd. Coprawda, fizyk francuski, Fizeau, w r. 1868, podał sposób mierzenia średnic gwiazd, oparty na pomiarach interferencyjnych, lecz dopiero Michelsonowi, w r. 1919, udało się rozwiązać tę kwestię przez zbudowanie odpowiedniego przyrządu — interferometru. Tak zbudowany interferometr, został ustawiony na szczycie największego, tylko co ukończonego, reflektora o średnicy zwierciadła 2½ m., znajdującego się w obserwatorium na górze Wilsona.

Trzeba podkreślić, że Ameryka, a przede wszystkim Stany Zjednoczone przodują Europie pod względem rozwoju astronomii. Największe i najlepiej wyposażone obserwatoria znajdują się w Stanach Zjednoczonych.



Przebieg promieni gwiazdy w reflektorze 2½ m podczas obserwacji z pomocą 6 metrowego interferometru



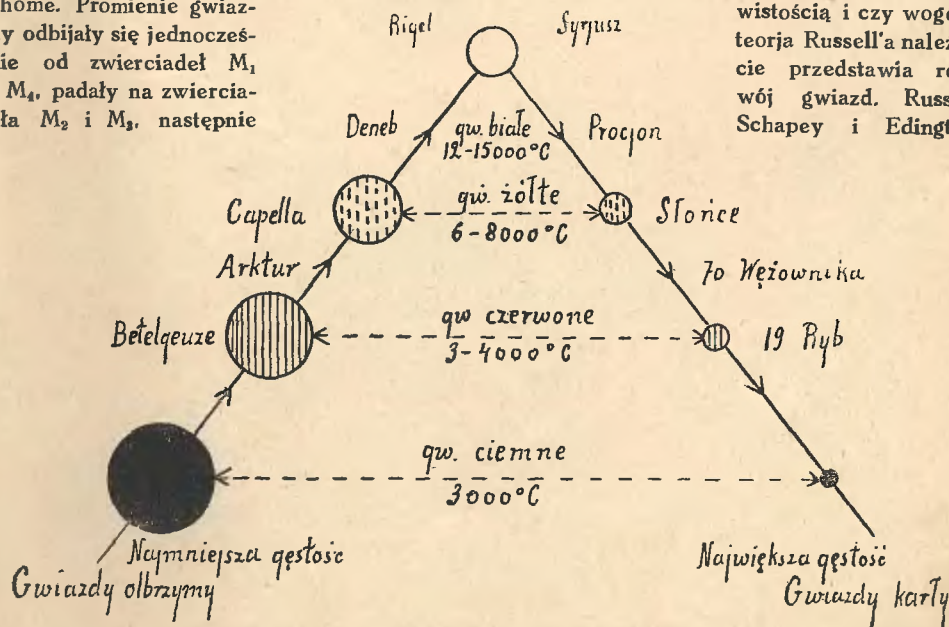
Gwiazdy olbrzymy: Autares, Betelgeuze i Arktur. Nasze słońce w porównaniu z temi kolosami miałyby średnicę $= \frac{1}{10}$ mm.

Oto niedawno w Wiktorji (Kanada) zbudowano nowe obserwatorium, z olbrzymim reflektorem 1,82 m. Interferometr Michelsona składa się z belki stalowej długości 6 m. z 4 zwierciadłami płaskimi o średnicy 15 cm., nachylenymi pod kątem 45° . Dwa skrajne (rys. 0) M_1 i M_4 można przesuwac w kierunkach przeciwnych, zaś dwa średnie M_2 i M_3 są nieruchome. Promienie gwiazdy odbijały się jednocześnie od zwierciadeł M_1 i M_4 , padały na zwierciadła M_2 i M_3 , następnie

odbijały się od wielkiego parabolicznego $2\frac{1}{2}$ m. a, — wypukłego hiperbolicznego b, płaskiego c i zbiegały się w ognisku lunety d., gdzie przy powiększeniu od 1.500 do 3.000 razy były widoczne w postaci prążków interferencyjnych.

Pomiary te miały stwierdzić, czy teoretyczne wyniki co do rozmiarów gwiazd są

w zgodzie z rzeczywistością i czy wogóle teoria Russell'a należy do przedstawia rozwój gwiazd. Russell, Schapey i Edington



wskazali na Betelgeuze jako na gwiazdę olbrzyma, posiadającą znaczną średnicę. Istotnie, pomiary średnicy tej gwiazdy, wykonane przez Pease'go z pomocą interferometru Michelsona, wyznaczyły 445.000.000 km.!!

Gdyby to olbrzymie słońce umieścić w środku naszego układu słonecznego, wówczas zajmowałoby przestrzeń aż do drogi planety Marsa.

W ten sposób obliczono, że średnica Arktura mierzy 34.000.000 km., Aldebarana — 53.000.000 km., a Antaresa nawet 650.000.000 km.!!

Wszystkie powyższe gwiazdy według nowej teorii ewolucji gwiazd powinny być posiadać wielkie rozmiary, co w samej rzeczy zostało potwierdzone przez metodę interferencyjną. Obecny interferometr może

zmierzyć średnicę tylko gwiazd olbrzymów. Trzeba zbudować interferometr długości 21 m., aby mierzyć średnicę takiego naprzykład Syrjusza, lub 2 razy większy, aby móc określić rozmiary ciał jeszcze mniejszych, przedstawiających poszczególne fazy ewolucji gwiazdnej.

W r. 1927 ukończono nowy 16 m. interferometr, specjalnej konstrukcji, który pozwoli mierzyć średnice gwiazd większej ilości typów widmowych.

Przed astronomją otwierają się nowe horyzonty. Wyniki tych prac umożliwią głębsze проникnięcie w istotę procesów materji gwiazdnej i może wreszcie będziemy w stanie rozwiązać jedną z najciekawszych zagadek wszechświata: zagadkę powstawania i rozwoju gwiazd.



**CZEKOLADA DESEROWA
WEDLA**

NIEPORÓWNANA W SMAKU



Ogród Luksemburski

Quartier Latin

Napisał

Kazimierz Helle

Ilustrował X. Koźmiński

Przeciętny Europejczyk, który nie zna Paryża, wie o Quartier Latin niewiele więcej ponadto, że tam mieści się Sorbona i że wogóle jest to dzielnica, zamieszkała przez młodzież uczącą się. W ten sposób zakres jego wiadomości o tej dostojnej części nadsekwańskiej stolicy niewiele większy jest od tego, co wiemy naprzykład o księżycu. Wspomnienia o niej i znajomość tych, co tam spędzili czas na studjach, chętniej może przywodzą na pamięć kawiarnie z „Bulmiszla” i epizody z „petites femmes” po mansardach hotelowych, niż inne rzeczy, dzięki którym Quartier Latin jest jedyną może w dziejach kultury europejskiej dzielnicą.

Na każdym kroku widzi się tu tyle pamiątek, sposobności do mówienia o tylu

rzeczach, wypadkach, nazwiskach wielkiej sławy i doniosłości, iż dziwić się wypada, że co chwila nie spotyka się turystów z całego świata, z nieodłącznymi przewodnikami, jak przed piramidami, na Akropolis, czy na ruinach starożytnej Romy.

Po zastanowieniu się obie zagadki dadzą się rozwiązać: Quartier Latin jest może jedynym dziś pomnikiem i zabytkiem, tętniącym nieprzerwanym życiem, takim samem, jak temu pół tysiąca lat i więcej, a praca, która się tu dokonywa, jest dostojna, nie dba o wszelką reklamę, choć każdy zaułek, niemal każdy dom, co druga kawiarnia, zasługiwałyby na to, żeby ściągać tłumy ciekawych.

Ale nawet ci, co lepiej znają historję „Dzielnicy Łacińskiej” i zdają sobie mniej-

więcej sprawę z roli, jaką ona odgrywała i odgrywa w dziejach cywilizacji powszechnej, dziś nawet nietylko europejskiej, ale światowej, nie obejmują całego ogromu, tkwiącego w tych dwu tak powszechnie i niemal banalnie znanych słówkach. A kiedy się porówna literaturę poświęconą różnym ogniskom cywilizacyjnym starożytnego Egiptu, czy Hellady lub Italji z epoki Odrodzenia z tem, co pisano o Quartier Latin, uderza odrazu dziwne ubóstwo. Książki poświęcone specjalnie tej dzielnicy możnaby policzyć na palcach, ta dysproporcja na pierwszy rzut oka wydać się może zagadką, trudną do rozwiązania. Łączy się z nią inna jeszcze.

Nieco geografji

Obecna piąta i szósta dzielnica paryska odpowiadają dosyć dokładnie temu, co od wieków przyzwyczajono się nazywać Kwartalem Łacińskim. Od północy była mu zawsze granicą Sekwana. Z innych stron granice były nie tak ściśle. Za wschodnią można uważać dziś Hale Winne, gdzie niegdyś był cyrk rzymski, za południową wzgórze Św. Genowefy, na którego szczycie stoi dziś Panteon, zachodnia dochodziła tam, gdzie dziś wznosi się potężny gmach Instytutu, czyli

Akademji Francuskiej, a w średnich wiekach stała sławna Tour de Nesle. Tak mniejwięcej biegle fortyfikacje na lewym brzegu Paryża, które z końcem XII-go wieku zaczął budować król Filip August. Innemi słowy średniowieczny Paryż na lewym brzegu pokrywał się dokładnie z Quartier Latin.

...i archeologii

Dzielnica łacińska jest bezpośrednią spadkobierczynią dzielnicy... rzymskiej. Przed Quartier „Latin“, przez niemal tysiąc lat, był tu quartier „romain“.

Gdzie dziś Ogród Luksemburski, rozciągał się obóz legionistów rzymskich, popod dzisiejszą ulicą Soufflot, wiodącą do Panteonu, stała świątynia pogańska; gdzie dziś ulica Racine i liceum Saint Louis, wznosił się teatr rzymski; gdzie dziś zwaliska, zwane pospolicie Termami, przy muzeum Cluny, mieścił się pałac jakiegoś patrycjusza; przy ulicy Monge, nieco wglęb, stoją do dziś dnia resztki olbrzymiego cyrku, który służył również dla przedstawień teatralnych.

Narodziny „Kwartalu Łacińskiego“.

Po legionistach i kupcach rzymskich zaczęli się tu osiedlać patrycjusze, zasileni



Swój i obcy na ulicach Quartier Latin

*Katedra Notre-Dame*

przez miejscową, galijską arystokrację, tak, że ten kwartał „rzymski” siłą rzeczy przekształcił się w kwartał „łaciński”, kiedy na przejściu z pierwszego na drugi tysiąc lat liczne szkoły, nie mogąc się pomieścić na „Cité” wokół katedry, zaczęły gromadnie przenosić się na lewy brzeg rzeki, aby tu wywalczyć sobie samorząd, wyzwolić się z pod jurysdykcji biskupiej i, podlegając wprost papieżowi, utworzyć ową „universitas”, zwaną tak od wielości nacyj, szukających tu nauki, której kwintesencją była ciągle puścizna po Rzymie, a w której nauczano w „lingua latina” — łacinie literackiej, gdy „lingua romana”, popularny język, którym mówili wszyscy, podlegał ustawicznej ewolucji, aby się stać ostatecznie „lingua franca” — językiem francuskim.

W XIII-em stuleciu „universitas” paryska i jej siedziba, „Quartale Latinum”, były już powszechnie znane i odwiedzane przez tysiące studentów niemal wszystkich nacyj europejskich.

W owym stuleciu jeden z królów norweskich takie dawał rady swemu synowi:

— Jeżeli chcesz osiąść wiedzę, ucz się wszystkich języków, ale przedewszystkiem łaciny i francuskiego, ponieważ te dwa języki są najwięcej rozpowszechnione.

A znów pewien król angielski z owych czasów wziął za kapelana kleryka z Paryża, „quia elegantiam francicam norat” (ponieważ zna się na wytworności francuskiej).

Już wówczas Paryż był „capitale du monde”, dzięki „Quartier Latin”. Nie byłby się nigdy stał taką stolicą bez kwartału łacińskiego, ale z drugiej strony kwartał łaciński mógł się rozwinąć dlatego, że stolica Francji poczęła się formować właśnie tutaj, a nie w Orleanie, Awinionie czy Lugdunie.

Etnografia.

Na kilka lat przed wojną w jednym z humorystycznym pism, wychodzących w Paryżu, można było widzieć rysunek, przedstawiający zbiegowisko na Bul' Miszlu (bulwar Saint Michel).

— Co się stało? — pyta jakiś przechodzień policjanta.

— Nic wielkiego, — odpowiada tamten. Ktoś się odezwał po francusku.

Ten dowcip jest ciągle aktualny w Quartier Latin, od blisko tysiąca lat. Nawet co

roku jest coraz więcej aktualny. Od kilkunastu lat do różnych nacyj europejskich, ślących tu swą młodzież na naukę, przybywają, nie mówiąc o studentach z obydwoch Ameryk, coraz liczniejsi Chińczycy i Japończycy, a spacer po kwartale łacińskim, o ile się pilnie słucha mowy przechodniów, jest istną lekcją w jakiejś szkole języków Berlitz. Interesującym byłoby spisanie wszystkich restauracyj „narodowych” w Quartier Latin, a jeszcze więcej przejrzenie ksiąg, w których wpisani są studenci Sorbony i wyższych uczelni oraz niezliczonych liceów. Tradycje średniowieczne, które nakazywały możnym rodzinom wysyłanie swych synów nad Sekwanę, przechowują się w najlepsze i dzisiejsze zakłady naukowe w Dzielnicy Łacińskiej liczą wśród swych uczniów — synów paszów marokańskich, królów indochińskich, zaś w liceum Louis le Grand przy Bul. Miszlu, starszy syn króla Afganistanu studjuje nie tylko klasyków greckich i rzymskich, ale i ową „elagantium francicam”, na której tak zależało średniowiecznemu królowi angielskiemu.

Podwójna „universitas”

Jak wiadomo, nazwa „uniwersytetu” powstała nie od „powszechności” nauk, które tam udzielały się, lecz od powszechności studentów, ściągających na uniwersytet ze wszystkich krajów.

Kto się bliżej rozejrzy po Quartier Latin, zauważy, że tu nazwa dałaby się wywieść z dwójakiego tłumaczenia: wielości nacyj i wielości nauk. Dzielnica ta, jedyna na świecie, skupia u siebie wszystkie wyższe uczelnie, nie tylko nauk, ale i sztuk pięknych. To ostatnie zjawisko tłumaczy się łatwo faktem, że sztuki piękne a zwłaszcza muzyka, wchodziły w program nauczania uniwersytetów średniowiecznych. Więc też nie jest dziełem przypadku, że Akademia Sztuk Pięknych paryska (Ecole des Beaux Arts) mieści się u zachodnich krańców Quartier Latin, a najstarsza szkoła muzyczna (Scola Cantorum) w jej bliskim sąsiedztwie od strony południowej, przy ulicy Saint Jacques.

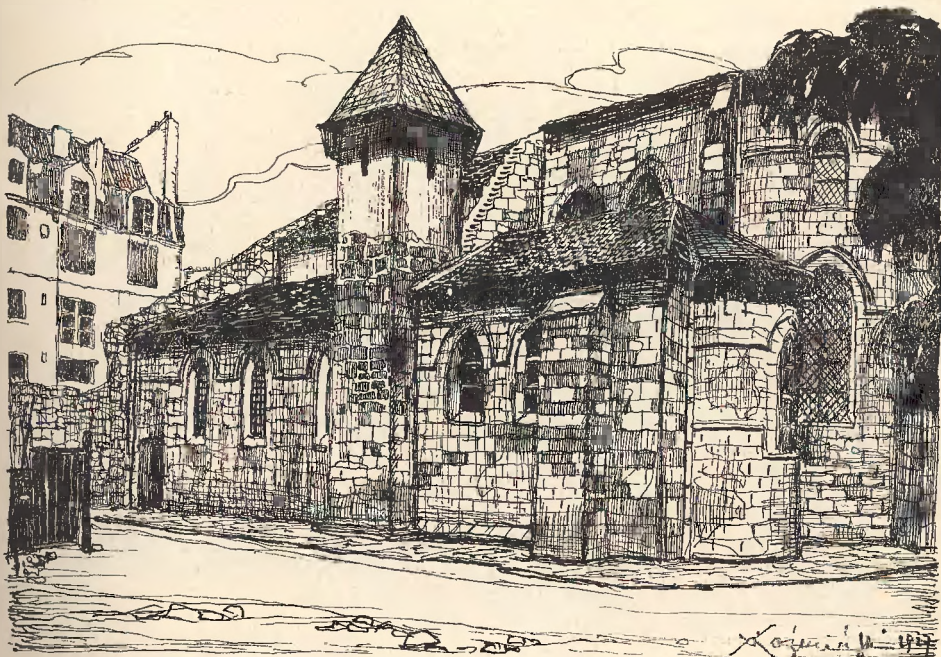
Tradycje Quartier Latin, jako jedynej siedziby nauki i sztuki, były i są ciągle tak żywe, że wszystkie niemal wyższe uczelnie paryskie, powstałe w czasach nowszych, tu

się usadowiły, a nie gdzie indziej. Wojskowa szkoła politechniczna, akademja górnicza, instytut radiologiczny, szkoła elektrotechniczna, — wszystko to mieści się albo w samej dzielnicy łacińskiej, albo w bliskim jej sąsiedztwie.

Tradycje te były jeszcze silniejsze dawniej. Nie gdzie indziej, tylko w zachodniej części łacińskiej dzielnicy powstał pierwszy teatr Moliera i pierwsza Opera, przy ulicy Mazarin. A w odległych czasach, kiedy na

i naukowo, nazywając chmurę „widomym kapitelem niewidomej kolumny”. Istotnie, dla patrzącego w letni dzień na majestatyczny „cumulus” na tle błękitu, wydaje się ta chmura czemś stałym, gdy w rzeczywistości jest ona szczytem kolumny wznoszącej się nieustannie pary wodnej, szczytem, który się w górze skrapla i dlatego jest dla nas widoczny.

Niezliczonym pokoleniom ludzkim, które w ciągu tylu stuleci przewijały się przez



St. Julien le Pauvre

wzgórzach obecnego Montmartre zgola nieśluszenie przyznającego sobie tytuł najdawniejszej dzielnicy artystycznej, pasły się stada owiec między winnicami, w cieniu wiatraków, na południe od Quartier Latin studenci Sorbony tworzyli pierwszą kolonję literacką, a jak przystało na prawdziwych humanistów, szanujących mitologję Hellady, przezwali ją Montparnasse.

Jedyna na świecie dzielnica

Jeden z geografów francuskich wyraził się raz poetycznie, a zarazem niezwykle trafnie

Quartier Latin, wydawało się ono ze swymi odwiecznymi domami uszeregowanemi w krętych, malowniczych zaułkach, czemś nieruchomem, stałym, niezmiennem. Prawdopodobnie czemś równie stałym wydawać się im musiała i owa jedyna w swym rodzaju atmosfera życia, czerpiącego główne soki z pracy po salach wykładowych, laboratoriach i bibliotekach za dnia, zaś wieczorem odświeżająca się po tylu lokalach rozrywek, które od wieków wypełnia młodzież i inteligencja tu mieszkająca. Napewno jeszcze czemś bardziej niewzruszonem zdały im się systemy myślowe, będące za każdym razem

w danej epoce alfa i omegą wysiłku mózgu ludzkiego, który tu, w Quartier Latin, więcej, niż gdzie indziej, moził się nad przeniknięciem zagadki życia i świata.

Wszystkie te „aspekty” są jednak przemijające.

Najtrwalszym pozornie wydaje się zewnętrzny wygląd Quartier Latin, tj. jego architektura. Istotnie, owo skłębione węzowisko krętych uliczek i zaułków, zabudowanych wąskimi kamienicami o głębokich podwórzach, charakterystycznych wysokich dachach i kominach, przetrwało gdzie niegdzie niemal bez zmiany setki lat. Zdarzało się, że niejedna uliczka zmieniała częściej nazwę, niż domy i bruki. Zastępowano je nowymi dopiero wtedy, gdy już przepracowane wielowiekową pracą odmawiały dalszej służby. Częściej jeszcze ulegały zmianom kościoły, na których znać zmieniające się „mody”. Z romańskich przekształcały się na ostrołukowe, a potem nierzadko „modernizowały” się w duchu i smaku Odrodzenia. Zmiany to jednak były „indywidualne”, nie naruszające ogólnego wyglądu dzielnicy.

Rewolucyjny prąd powiał dopiero za drugiego cesarstwa. Baron Haussmann, prefekt Sekwany, przebudował Paryż, może bardziej radykalnie, niż Neron swą stolicę. Dostało się wtedy i Dzielnicy Łacińskiej, przez którą przetrzynięto szerokie bulwary Saint Germain i Saint Michel, oraz kilka innych, mniej głośniejszych arteryj. Z chwilą jednak, gdy fakt został dokonany, zewnętrzny wygląd zastygł na dłuższy czas. Tuż obok nowych, szerokich bulwarów, pozostały uliczki i zaułki, takie, jakimi rodziły się gdzieś w XII, czy XIII wieku. Dano im teraz asfaltowe bruki i elektryczne latarnie po rogach, otynkowano czy pomalowano olejno fasady, ale przedziwna linja zewnętrzna pozostała nietknięta, tak długo, aż któryś z domów odmówi posłuszeństwa i zagrozi zawaleniem się. Wtedy go burzą, a jego następcę, zobowiązany do przestrzegania przepisów policji budowlanej, cofa się wgłąb na przepisaną odległość, znacząc linię nowej, takimi kawałkami rozszerzanej ulicy.

Korowód systemów

Od samego swego początku Quartier Latin był i jest owym tygłem, w którym nie tylko zbiegają się z całego świata systemy, prądy,

kierunki myśli ludzkiej na wszystkich polach, ale gdzie także nowe zdobycze mózgu wygotowują się, by następnie promieniować na wszystkie strony, na wszystkie kraje.

Nikt nigdy nie opracuje statystyki tysięcy profesorów i setek tysięcy uczniów z całego świata, którzy przeszli i przechodzą przez Quartier Latin. Zwano je często „duszą i mózgiem” Paryża. Ten tytuł można by bez najmniejszej przesady rozszerzyć i uznać Dzielnice Łacińską za mózg, jeżeli nie świata, to w każdym razie rasy białej za średniowiecza i w czasach nowożytnych. Obronić swą tezę na Sorbonie, czy przedłożyć pracę Akademii Francuskiej, jest dziś takim samym marzeniem i dążeniem we wszystkich krajach, na przykład w XIV-em, stuleciu, kiedy Dante przybywał tu na wykłady Siegera z Brabancji, oraz aby wobec czternastu powag bronić swej tezy „De omni re scibili”.

Mistrzowie Sorbony zabierali głos w średniowiecznych sporach kościelnych, wypowiadając się ostro przeciw prawu kanonicznemu, przeciw zakonom żebrzącym. Sorbona zyskiwała sławę europejską, ściągając ze wsząd uczonych i studentów. Ci wypowiadali się również z wielką krewkością, urządzając ową słynną parodję obrzędów kościelnych nazwaną „Świętem Szaleńców”, co spowodowało zamieszki uliczne. Tradycje „krewkości” przechowywały się w Quartier Latin stale.

Niewątpliwie znali je jeszcze w kilka dobrzych wieków później wielcy teoretycy i praktycy Rewolucji Francuskiej, najprzód Encyklopedyści, a potem cała trójca: Marat, Danton i Robespierre. Jedni i drudzy wchłaniali atmosferę Quartier Latin, mieszkając tu.

Przez cały wiek XIX-ty Quartier Latin tętnił bujnym życiem. Może silniej, niż za dawniejszych czasów, zaznaczył się teraz „cyganeria”, która żyła tutaj, hulała, ale i pracowała, dając światu nieśmiertelne dzieła.

Przez Kwartal Łaciński przeszli w ubiegłym stuleciu tacy genialni artyści jak: Baudelaire i Verlaine, Villiers de l'Isle Adam i Moreas, Courbet i Delacroix, jak Wiktor Hugo i Balzac, jak Cezar Franck.

Quartier Latin dał w tym czasie światu genialnych przyrodników, fizyków i chemików, od Pasteura i Claude Bernarda do

obojga Curie, dał filozofa Bergsona.

Jeden z nie-licznych autorów, którzy usiłowali nakreślić sylwetkę Quartier Latin, wyraził się, że panuje tu odrębna „atmosfera, lżejsza, czystsza, niż gdzie indziej, że czuje się w eterze wirowanie idei”. Miłośnicy literatury okultystycznej mogliby określić powyższe rozszerzyć, dodając poprostu wpływ „astrali”, oddziaływający tak silnie na tych, którzy po nich zajęli tu miejsce.

*Dawniej —
a dzisiaj?*

Niejednokrotnie można słyszeć zdanie, iż powojenne życie w Quartier Latin w porównaniu z tem, jakie kipiło przed wojną, jest dziwnie smutne. Istotnie, wieczorami nie spotyka się tylu studentów w towarzystwie swych „petites amies”, a kawiarnie w znacznej części przepełnione są publicznością z poza świata studenckiego. Nie znaczy to, jakoby Dzielnica Łacińska była mniej liczna. Quartier Latin po dawnemu jest dzielnicą, liczącą kilkadziesiąt tysięcy młodzieży studenckiej obojga płci, studjującej w kilkuset zakładach naukowych, poczynając od Sorbony, a kończąc na licznych liceach. Po dawnemu też roi się od tej młodzieży, wśród której obecnie więcej może, niż przed wojną, widać typy azjatyckie



Najmilszy wykład

szczupłych, zawsze elegancko ubranych Chińczyków i Japończyków. Dodaje to całemu kwartałowi bardziej egzotycznego wyglądu. Ubożsi studenci czas spędzają dawniej w kawiarniach, poświęcają pracy zarobkowej, by móc opłacić wysokie koszty nauki.

Dzielnica Łacińska widywała jednak daleko więcej opłakane stosunki. Kroniki średniowieczne mówią, że studenci w owych czasach musieli się imać „najpodlejszych” zajęć, byle móc opłacić

naukę. A nie było wówczas dzisiejszego wspólnego gmachu Sorbony z widnemi salami, dobrze ogrzanymi. Studenci słuchali wykładów, siedząc na wiązках słomy, częstokroć na ulicy.

Zato opiekowano się nimi pod innym względem więcej niż obecnie.

W XIII-em stuleciu napływ ich był tak wielki, że ceny za pokoje podskoczyły w górę niebywale i w r. 1242 musiano ustawić takse na mieszkania, karząc surowo właścicieli, którzy jej nie przestrzegali.

Przykład ten nie znalazł dziś naśladowców i obecnie właściciele hoteli w Quartier Latin drą niemiłosiernie skórę, wiedząc dobrze, że student z kraju o „silnej” monecie zapłaci każdą żadaną cenę.



Napisał

Lucjan André

Ilustrował W. Ujejski

Wiele się na świecie zmieniło. Ziemię i dusze ludzkie przeorał był krwawy pług wojny, i wschodziły już pierwsze posiewy nowych myśli, nowych uczuć i zdarzeń. Tylko surowy tryb życia pana na Kołczanach nie zmienił się zgoła. Dziedzic trwał jak z kamienia wykuty, i opierał się huczącej fali wydarzeń i zębom czasu. Po dawnemu do dnia wstawał, niczem prosty ekonom. Po dawnemu wiosną, latem i jesienią w polu, zimą w obejściu dworskiem, — doglądał, czuwał, wołał i rozkazaniem sprawując władzę i ład, w ryzach dzierżąc, bojaźni a posłuchu.

W początkach kwietnia tego roku, na długo przed wschodem słońca, gdy światem szedł dopiero przedświt, rzeźbiarz zarysów wszechrzeczy, i przepadłe w pomroczy nocnej drzewa i budowle odzyskiwały jakby nowo swe realne kształty, — stary Sierhiej, odwieczny sługa dziedzicowy, ze świecą zapaloną oraz parą tego wyglansowanych butów zbierał się obudzić pana. Kiedy uchylał drzwi sypialni, pan już nie spał: jego oko przeżywało półmrok i duszę ludzką nawylot.

Znalazłszy się w promieniu pańskiej srogości, Sierhiej stapał na palcach, kołyszając się niezdarnie z nogi na nogę, nie z bojaźni, Boże broń, ale ot tak — „z przyrodzenia”. Lichtarz ze świecą ustawił ostrożnie na skraju staroświeckiego mahoniowego biurka, buty zaś tuż — przy łóżku. Ruchliwy skośny cień zohydzał jego dobroduszne oblicze, ukryte przemyślnie w gąszczu szarosiwego włosa.

Pan był surowy i srogi. Adam Bohusz. Serce może i miał, ale nie na pokaz. W całym dworze, a i we wsi także, kto żyw, czuł ustawicznie na sobie jego żelazne oko, wrzynające się, jak ostroga, w ospałe ciało. Pan Bohusz mocną i ciężką miał rękę, a głos w gniewie — świst kańczuga. Ale głosu używał mało. Ręki zrzadka. Wystarczało, gdy twarz jako chmurę gradową ukazał. A zdarzało się: tylko szczęki zaciśnie, brwi ściągnie, oczy mu ściemnieją i błysną, twarz się mieni, mięśnie grają, dwa potężne żwaczę, — ho, ho, nie przelewki, bratku!

Sierhiej ustawiał buty z atencją, pieczołowicie, jakby to były nogi samego pana. Potem dopiero podnosił wzrok na wysokość łóża, i spotykał się z oczyma dziedzica.

— Zdarou panie...
 — Dzień dobry, Sierhiej, — a jakże tam dzisiaj?
 — Kiepskowato, panie. — Na niebo, na ziemi pobaczysz: usiudy tumán.

— Deszcz?

— A Boh jaho wiedaje, — ciapiér nimá.

Codzień powtarzał się tam polsko-białoruski dialog z małemi zmianami zależnie od stanu pogody. Zaczem dziedzić dźwigał się żwawo z pościeli, zimną wodą zlewał, i z tualetą ceregieli żadnych: raz, dwa, po żołniersku pomimo sześćdziesiątki, jak przed laty, jak zawsze.

Ale lata szły. Czas stapał ciężkimi stopy, a z nim obok dorobku — straty, obok radości — żałoba. Tej więcej.

Wojna zabrała panu Adamowi rodzinę. Najstarszy syn, Jerzy, w dwiętnastym roku życia powędrował do legjonów Piłsudskiego. Uciekł z domu, straceniec, — i dokąd? — na służbę do Austriaków, do Niemca. Ha, młokos zwarzjowany! Innego słowa nie wymówiły nigdy usta ojcowskie: syn — zawsze syn. Ale wola i duma Bohuszowa nakazały wykreślić go z listy żyjących. Mniejsza o serce: serce to już rzecz własna, światu od niego wara.

Potem Jerzy przyjeżdżał dwukrotnie do Kołczan, ale nie mógł wyjednać przebaczenia, i od pięciu lat nie dawał znaku życia. Tak oto stracił pan Adam syna. Reszta zaś rodziny dziedzica, uchodząc przed zawieruchą wojenną na wschód, przepadła tam, jak dotąd, bez wieści. Przy rozstaniu z żoną pan Adam musiał użyć podstępu. Wyruszyli w ostatniej chwili, gdy w majątku myszkowali kozacy. Ona z dziećmi w powozie, on konno: rodzina. Ale gdy zapadli w lasy ciągnące się olbrzymią połącią ku wschodowi, pan Adam zawrócił konia pod błahym jakimś pretekstem, i — pozostał.

I ziemią, niebem przewaliła wojna. Zatargła Kołczańskimi trzewiami. Zionęła ogniem, zarazą i grozą, leżała na piersi czołgiem. Pan Adam ostał się i trwał. Tu, gdzie go postawił Bóg, na skrawku obolałej ziemi. I dotrwał tak aż do dnia dzisiejszego, w trójnasób nieugięty, powielekroć samotny, osepiał, szary jakiś i siny, jak od popiołu, co żuźle i rany zapiekle ukrywa. A przy tem miał swoje dziwactwa: nie znosił naprzykład czyjegós głośniego kroku, tylko własny. Domownicy w obrębie dworskich pokoiów musieli chodzić w miękkich filcowych pantoflach.

W jadalni czekało śniadanie.

Wychowanka Kołczańskiego dworu, Terenia Opolska, objęła po śmierci swej matki obowiązki gospodyni domu. Gospodarowała tedy. Ale któż wie, czy Terenia żyła naprawdę, czy może tylko śniła się Kołczanom? Coś ze snu, pieszczoty i marzenia miała w sobie jej dziwna, blada, pastelowa uroda. Na mrocznem tle opustoszałych pokoiów jasna postać dziewczyny wykwiłała jak przywidzenie. I jeżeli mieszkała kiedykolwiek wśród tych ścian dobroć, i odeszła, — to teraz patrzyła na świat cichemi oczyma Tereni, wymawiała serdeczne wyrazy jej ustami, i do modlitwy dłonie składała jak ona. Ach te modlitwy, modlitwy! Od kilku lat życie Tereni stało się nieustanną błagalną modlitwą. Terenia była dzieckiem wojny. Wojna uczy swe dzieci kochać i nienawidzić: nienawidzić to co jeszcze jest, a kochać to, czego jeszcze niema. Ale to dopiero potem, gdy dorosną. Małe dziecięce duszyczki wojna wypełnia przerażeniem. Terenia w przerażeniu tuliła się do matki. Matka umarła. Terenia tuliła się do Boga: wyssała to z mlekiem matki. Byłyby wyjechały razem z panią Bohusową do Rosji, ale stara Opolska uparła się: tu urodzona, tutaj umrze. Może przeczuwała? Zresztą nie była już wtedy zdrowa, a ludzie chorzy

nie znoszą podróży. Zostały. Matka wkrótce umarła i Tereni pozostał tylko pan Adam i stary Sierhiej. Właściwie, po ludzku rzecz biorąc, tylko Sierhiej. Pan Adam bowiem, którego matka Tereni błagała przed śmiercią o ojcowską opiekę nad jedynaczką, po stracie rodziny i syna umarł dla ludzi, nie wyłączając najbliższych. Terenię traktował wprawdzie jak kogoś z rodziny, ale tyle tylko: jak kogoś z rodziny. Za to stary Sierhiej lubił gwarzyć i opowiadać osobiście o przeszłości. Żył wtedy podwójnie, za siebie i za swego pana. Z opowiadań tych urastał w serduszkach Tereni rycerz bez zwały: Adam Bohusz. Nauczyła się szanować jego ból, gniew i wyniosłość samotną, niedostępną. A i syn pana Adama był taki. Jota w jotę. Tak samo Bohusz, tylko Jerzy i młody. W przeżyciach Tereni obaj Bohuszowie stali się tak nierozdzielni, jak kościół i dzwon. Cóż, kiedy w istocie dzielili ich jakowąś przepaść nie do przebycia. Terenia słyszała jak mówiono, że pan Adam darowałby Jerzemu legiony, ale nie może mu przebaczyć ucieczki z domu i tych jego nowatorskich zapędów. Terenia wierzyła jednak najmocniej, że obaj Bohuszowie to szlachetni rycerze, i że się wszystko wyjaśni i ułoży, byle tylko trwać pomiędzy nimi jako krzyż na rozstaju, byle tylko Boga ubłagać. Modliła się. W kościółku parafjalnym razem z kolorami witrażów leżała na kamiennej podłodze krzyżem. Nikt nie wiedział na jaką intencję, nawet Sierhiej: błagania dziewczyny szły prosto do nieba. I dlaczego nie miałyby być wysłuchane? Przecież i po burzy bywa tęcza, i po nocy przychodzi dzień. Ot i teraz dnia tylko patrzeć.

Terenia zakrzętała się żywo.

Na stole paliła się jedna tylko świeca. Z kąta dolatał zadomowiony, przytulny szumek samowara. Porywczy kwietniowy wiatr siekł chwilami o szyby, i słysząc było, jak bił o ściany domu splotami zeschniętego, ciężkiego teraz od mgły, winogrodu.

Gospośia otworzyła drzwi do kredensu, dobywała stamtąd i ustawiała na stole suchą litewską wędlinę, chleb sitny koloru białej kawy, masło i ser. Wreszcie trzeba było i to także położyć: — list. Poczta przy rannem śniadaniu: taki był raz na zawsze ustalony porządek; wyjątek stanowiły tylko depesze.

Terenia westchnęła głęboko, kładąc znak krzyża świętego na sobie, i sięgnęła po ukrytą na piersiach kopertę. Potem długo trzymała ją pieśczośliwie w ręku, odcytując po raz niezliczony energicznie, dużymi literami skreślony adres: „Wielmożny pan Adam Bohusz, p. Kołczany, ziemie Brzeskiej”. Znajome, wypisane na żaglach marzenia litery! Widać, zda się, twardą żołnierską rękę, która je kreśliła i białe czoło pochylone nad ćwiartką papieru. List był od Jerzego. Poznała. Więc jednak pomimo wszystko napisał do ojca po pięciu latach milczenia. Nareszcie, skończyły się dni osamotnienia i udręki. Napisał. Ojciec już pewnie dawno zapomniał o gniewie, w głębi serca przebaczył. Kto wie czy nie tęskni za synem? Przecie on dobry, dobry pan Adam; szlachetny i srogi, ofiarny i dumny, niedostępny, ale godny podziwu i czci, i taki doprawdy biedny, taki niezłomnie nieszczęśliwy. Odezwać się dobrem słowem — odtrąci. Ale czasami znów to i prośby wysłucha i jeszcze coś od siebie dorzuci. Naprzykład z tem radjo. Terenia żyła muzyką: sama nauczyła się grać, nie wie nawet jak i kiedy. Skrzypce miała stare, ładajakie, po nieboszczyku ojcu, leśniczym Kołczańskim. Umiała już „Ave Maria” i różne białoruskie „zauywny” piosenki. Aż tu naraz radjo. Była u siasiadów w Turowiczach i na własne uszy słyszała: koncerty, opery i inne takie cuda. Jak to wszystko pamiętać? Ale życie bez radja stało się naraz puste i nie do pomyślenia, jak bez powietrza. Wyjawiała to kiedyś panu Adamowi. Pozwolił na zało-

żenie i sam wszystko ułatwił. Ach, to jest bardzo dobry człowiek i nie-szczęśliwy! Ale teraz przyjedzie Jerzy i zacznie się nowe słoneczne życie. Marzyła. Powracały przed oczy i serce dawne obrazy. Terenia jest dzieckiem. Jerzy ośmioklasista. Wakacje. I naraz wyśledzono tajemnicę panicza. Pokojowa, czyszcząc jego mundur gimnazjalny, znalazła cały tuzin fotografii dziewczeczki w wianuszkach i welonie od pierwszej Komunii. I wydało się. Bóg wie jakimi drogami doszło do wiadomości dziedzica. Jego rzecz: był wszędzie i wiedział wszystko. Zawezwał Jerzego. Terenia przypadkowo, przechodziła wtedy ogrodem. Słyszała rozmowę. Nie pamięta wiele z tego, co mówili, ale to wie: Jerzy zakochał się w panience od Komunii Świętej, i ojciec był zły. Długo, długo mówili, potem Jerzy zamilkł już zupełnie, i wreszcie surowy głos:

— Więc nie zobaczysz jej więcej?

— Nie...

— I nie napiszesz do niej?

— Nie...

— Przysięgnij!

— Przysięgam...

Słońce, ogromne słońce stało pośrodku ogrodu. Lipiec. Terenia wyjrzała z poza gęstwiny jaśminu. Panicz płakał. Twarz dziedzicowa z kamienia: nie zadrga. I Terenia także płakała. Poco? Cóż mogła obchodzić ją panienka? Ale płakała.

A potem — wojna... A potem znów, już po tych nieszczęsnych legionach, — bolszewicy. Zwalili się pewnego wieczora, zgraja obdartych potępieńców, i szli, i szli na Warszawę, — końca nie było. A potem, aż się za nimi kurzyło, i nasi ułani na karkach... i Jerzy... Jerzy w Kołczanach.

Ojciec wcale do niego nie wyszedł.

Ułan obejrzał wszystko, po pokojach chodził, i w dziedzińcu i w sadzie, drzewom się wszystkim przyglądał i niebu. Ojciec nic. Ułan zabrał



Na urocznem tle opustoszałych pokoiw jasna postać dziewczyny wykwiłała jak przywidzenie

się i odjechał. Ale powrócił niebawem. Mundur ułański w ką, i do pracy. Czy mówił z ojcem? Czy błagał go o przebaczenie? Czy ukorzył się, lub może usprawiedliwiał? Terenia wie tylko, że ojciec jakby go wcale nie spostrzegął: ty bądź sobie, a ja sobie.

Któregoś jednak dnia nie wytrzymał stary, i nagle przy ludziach do syna zagadał: to i to tak ma być i tak, nie po synowsku, ale zasię po staremu, po ojcowsku. Syn zmilczał i w okamgnieniu rozkazy wykonał. Na mocy jakiejś milczącej umowy obaj Bohuszowie żyli odtąd obok siebie, niepojednani jeszcze wprawdzie, ale już jakby pogodzeni. Trwało to aż do żniw. A we żniwa...

Na kilka dni przed rozpoczęciem żniwa, Jerzy zwołał wszystkich gospodarzy ze wsi do dworu. Że to trzeba pospołu uradzić, gdzie kośce, gdzie zasię sierpy, a gdzie żniwiarka ma żąć, i jak siły rozdzielić, i czego on, Jerzy — od nich chce, i czego oni, chłopci, żądają, — jakiej płacy? Poschodziły się diad'ki-brodacze z całej wsi: kto w buciorach, kto w łapciach, a kto zasię boso. Zasiadli kołem uroczystem na dworskim tarasie. A słońce przypieka, a dziegiem, a lepkiem potem, a baranem od nich niesie aż dech zapiera. Wtem — dziedzic. Wszyscy powstali. Przystępują z nogi na nogę, jakby niedowidzą olśnieni, mrugają. Dziedzic — mur. Ani słowa. Błady. Szczęki zwarte. Brwi. Gniew chodzi po nim jak płomień. Twarz — burza. Jakże niemiłosiernie, jak okrutnie zazgrzytał jego mocny krok o cement tarasu! Twardy krok, niezachwiany, ręka wzniesiona, straszna... i... ach!... w twarz!... Jerzego...

Tereni teraz jeszcze trudno myśleć o tem: to boli, i tak już pozostanie — nieszczęście. Płakała wówczas za syna i za ojca i za nich obu przed Bogiem. A teraz oto ten list... Tu sucha litewska wędlinka, tu chleb siłny koloru białej kawy, a tu list trzeba położyć. Pośrodku. Bóg jest dobry. Tak... Teraz już wszystko. Teraz będzie inaczej. Ale jakże tamto zapomnieć? Pięć lat: dla serca — wieki, a dla pamięci tak mało!

Jerzy odjechał nocą. Widziała z głębi ciemnego pokoju. Noc była jakby nie lipcowa, czarna i złota. Szyba zachodziła mgłą. Przetarła dłonią bezsilną. Bała się okno otwierać. Prosta jak strzelił aleja topolowa ukazywała w dalekości skrawek szafiru niebios i gwiazdy Andromedy. Wyraźnie, jak chińskie cienie, rysowały się na tem tle sylwetki dwu osiodłanych koni i stajennego chłopaka, Hryhora. Konie strzygły uszami. W pewnej chwili na ganku kroki: Jerzy. Prosty, głowa wysoko, wsiada, odjechał. Pięć lat, aleja topolowa, skrawek nieba i gwiazdy. I cóż jeszcze? I list stamtąd.

— Sierhiej...

Stary majstrował coś przy samowarze. Kłęby pary unosiły się dokoła jego siwej głowy.

— Sierhiej... podeszła blisko.

— Hmmm?

— Jakże starszy pan dzisiaj? (Znaczyło to: w jakim jest nastroju?)

— A jakież ma być, Tereniu, — wiadomo: żałobą nakryty i hniewem. Dusza u niego chworaje...

— Co też mówicie, Sierhieu, dusza należy do Boga...

— Żołoba jest czarna, a hniew krasny, czerwonyj, — ciągnął Sierhiej, — bielaho Boga z poza nich nie widno...

Terenia nie odpowiedziała. Zdjął ją nagły lęk: białego Boga? — toć i list jest biały. Chciała już była powiedzieć Sierhiejowi: list od panicza, pomódlmy się, Sierhieu. Ale teraz, nie, nie powie, pomodli się sama.

Wiatr zaciął o szyby. Za oknami przeziarał błady świt. Terenia i Sierhiej w kłębach pary z połyskującego złotem samowara, na ciemnym tle



wnętrza oświetlonej jedną tylko świecą, wyglądali jak owe prasłowiańskie duchy opiekuńcze, Uboża, zamieszkujące pod jednym dachem z człowiekiem.

Skrzypnęły drzwi: — pan Adam.

Terenia podeszła nieśmiało. Powiedziała:

— Dzień dobry...

Schyliła się do ręki Bohuszowej. Tym razem była to prośba niema i gorąca: twój Jerzy. I jeszcze coś: akt skruchy za niego, za syna.

— Dzień dobry, Tereniu, — pocałował ją w czoło. Spojrzała. Próbował jakby uśmiechnąć się, ale w rysach pozostała surowość, w oczach — noc. Mimo to wstąpiła w nią otucha: pan Adam przeczytał list, i Jerzy powróci, pan Adam jest dobry: pozwolił na radio, a zresztą Bóg tak chce, a ona prosi — Terenia...

Pan Adam podszedł do stołu. Spostrzegł list, wziął go do ręki i przyglądał mu się uważnie. Coś, jakby iskra w ciemnościach, zabłysło w jego ślepim oku i zgąsło.

— Kiedy? — zapytał spokojnie.

— Przyniesiono wczoraj po południu...

— Kto odbierał?

— Sierhiej...

Sierhiej dodał od siebie:

— Ja, panie...

Terenia stała bez ruchu: całe jej życie zalepiono w białej kopercie.

Dziedzic siadł. Zapytał znów: „Gdzież herbata?” List trzymał wciąż jeszcze w ręku.

Terenia machinalnie podeszła do samowara. Serce poczęło się tłuc, jak motyl o szybę. Spojrzała: pan Adam siedzi, obraca w palcach kopertę. Podsunęła filiżankę jak głowę na ścięcie: byle już prędzej! Prędzej, prędzej, nalewa esencji, wrzątku, niesie, wtem...

Drgnęła. Filiżanka upadła z brzękiem na podłogę — w kawałki. O Boże, pocoś zakleił życie w białej kopercie?

Nieśmiałym, błękitnym płomyczkiem płonie list Jerzego. Pan Adam trzyma kopertę nad świecą. Nie czytał. Niema już syna. Oto płomień wystrzelił ku górze, zjaśniał, i rozświetlił po raz ostatni wnętrze pokoju. Cienie ukryły się po kątach, wszystka noc — w kąciку serca. Świeca pobladła. Duszyčka Tereni zszarzała, jak mała rozdeptana na drodze myszka: biały Bóg ją opuścił. Płonący papier wił się, skręcał i trzeszczał tak, jakby list był z blachy. Pan Adam rzucił go wreszcie na talerz. Zgąsło. Na talerzu pozostało trochę czarnego jak rozpacz popiołu, na talerzu i w twarzy dziedzica. I cóż to uczynił najlepszego? Nie zauważył Tereni, Sierhieja, świadków tej sceny, i nawet brzęku stłuczonej filiżanki. Był-że to ojciec?

Sierhiej, jak duch niezdarzony, a pełen najlepszych chęci, zbierał rozsypane po podłodze skorupy. I ścierką też trzeba było wytrzeć, a wszystko na oczach pana. Ale Sierhiej *widział* tylko, co się stało, Terenia zaś widziała i wiedziała, a przytem (coż znaczy teraz to słowo?) Kochała Jerzego. Biedna Terenia! Biedna mała rozdeptana myszka. Coż wiedzieć może myszka? Czy i to także, że miłość tak jak nienawiść nie zna litości?

Terenia uciekła z jadalni. Stała teraz przy oknie z widokiem na topolową aleję — jak wtedy. Pan Adam trzymał cały dwór w ręku, niczem woźnica konie. Ale ból Tereni okazał się silniejszy od pana Adama: chwycił ją i wygnał tu, do tego okna. Dlaczego tu właśnie?

Sierota, gdy jej dokuczy świat, biegnie na grób matki: tam spłynie na nią łaska zrozumienia i pociechy. Ale grób matki był daleko. Terenia po-



Nieśmiałym, błękitnym płomyczkiem płonie list Jerzego...

biegła na grób swego marzenia, któremu na imię „Jerzy“. Do tego okna, poza którym, na końcu topolowej alei jest niezmienny po wieki wieków szafir nieba i gwiazdy. Szarzało. Niebo i ziemia zionęły chłodną wilgocią. Drzewa stały we mgle, jak zamysłone. Niezliczone, drobne, połyskliwe kropelki ściekały po gałęziach i opadały na ziemię jak łzy. Drzewa płakały, budząc się do życia. A Terenia?

Opodał ganku stróż nocny w wielkim baranem „tułupie“ trzymał cugle ulubionej wierzchowki dziedzica, osiodłanej do wyjazdu w pole na codzienny objazd folwarków. Koń wrony, wydawał się teraz szary, jakby z szyfru. Stróż drzemał stojąc. Niekiedy znów przestępował z nogi na nogę i spoglądał w stronę ganku. Wreszcie ukazał się pan Adam, drugi taki sam szyfrowy cień. Dosiadł konia i, rzekłbyś, zrósł się z nim barwą i ciałem. Koń wyrwał z miejsca, miotając błoto z pod kopyt. Za bramą przeszedł w miarowy galop. Wierzchoły rozłożystych topoli kołysał wiatr. Jeźdźca przesłaniał mrok, oddalenie i mgła. Terenia straciła go z oczu. Wszystko przestaniały łzy. Okno nie dało ani ratunku, ani pociechy, — nawet szafiru nieba i gwiazd Andromedy.

Minęło kilka tygodni. Staruszek - czas zdążając gościńcem świata, Uśmiechał się niezmiennie niezamąconym, dogłębnym uśmiechem mędrca. Niedawno jeszcze puszczał na świat lutą śnieżycę i mróz, a teraz dzwigał

całe narecza godzin kwitnących, i ciepłych, zielonych dni. Zakwitały w jego rękach godziny, trzepotały skrzydełkami chwile, ważki igrające ponad strumieniem żywota, oddychały wiosennem niebem dnie.

A Terenia?

Ludzie, pozbawiwszy małą zwinną wiewiórkę wolności, dają jej wzmian kółko w klatce: niech się kręci. Terenia utraciła nawet żywość i zwinność: kręciła się w kołowrocie gospodarskich zajęć jak automat. Odczuwała tylko swe sieroctwo. W Kołczanach była wielka oranżeria, pełna teraz kwiatów: oczko w główce Tereni. Doglądała ich jak zwykle, dbała o ich krasę, ale nie mogła już dojrzeć ich uroku. Ten sam los spotkał ogrody i pola: nie dla niej budziły się do nowego życia. Terenia nie poznawała wiosny i skrzypiec nie tknęła.

Dopiero w pierwsze święto Wielkanocy, która bardzo późno tego roku wypadła, nastąpił nieoczekiwane przełom. Była z panem Adamem w parafjalnym kościółku na rezurekcji. A potem jeszcze na Mszy i kazaniu siedzieli obok siebie w wielkiej kolatorskiej ławie Bohuszów. Modlono się. Modlitwa dla Tereni była tem, czem dla poety słowo: więzią łączącą duszę ze światem. Modlitwa łączyła teraz duszę Tereni ze światem, jak sznur łączy serce dzwonu z ręką dzwonnika. Dzwonnik pociągał za sznur, i oto rozbudziła się, rozkołysała, rozzdzwoniła duszyczka Tereni. Potężna fala pieśni porwała ją i uniosła z pustego wybrzeża rozpacz: w oczach blask monstrancji, w uszach dzwonki ministrantów, w sercu cud Podniesienia, a potem, kiedy wracali do domu, to już tylko słońce wiosenne i pieśń skowroncza pod niebem. Rezurekcja, ludzie, wiosna, kazanie, uroczysty, poważny ton bżwonów, wszystko to stopiło się w wielki porywający hymn Zmartwychwstania. Ucichęło. Cuganty rąco i ochoczo unosiły lekki powozik, wyrzucając z pod kopyt grudki pulchnej wilgotnej ziemi. I teraz wspomnienie: tamten odjazd, bryzgi z pod kopyt wierchówki, tamten cmentarny świt. A oto inne niedawne wspomnienie: skupiona ascetyczna twarz starego proboszcza i słowa Ewangelji:

„Mówiły do siebie: któż nam odwali kamień ode drzwi grobowych? A spojrzawszy ujrzały, że kamień był odwalony”.

Terenia spojrzała na pana Adama: wodził oczyma po zoranych polach. Po twarzy zoranej cierpieniem błędziło szczęście wiosenne, łagodząc bruzdy surowe: czyżby kamień był odwalony?

Niespodzianie dla samej siebie, spytała:

— Dlaczego pan spalił wtedy ten list?

Nie odpowiedział zrazu. Zupełnie jakby nie do niego mówiono. Przyglądał się ziemi uważnie. Terenia struchlała: ach, wyrządziła mu krzywdę, sprawiła ból, rozgniewała,



A potem jeszcze na Mszy i kazaniu siedzieli obok siebie w wielkiej kolatorskiej ławie Bohuszów

jakże można było postąpić tak niegodziwie? Ale cóż, stało się. Terenia zacięła z determinacją wargi; czekała, gotowa naraz do walki o Jerzego, o miłość.

Pan Adam milczał. Wreszcie rzekł:

— List pochodził od człowieka, który niegodzien jest nazwiska, jakie nosi.

— Dlaczego?

— Nie uszanował woli ojca.

— A jakaż to była wola?

— Wola rodziców jest święta.

— A jeżeli jednak się mylą?

— Miłość się nie myli.

— Więc i ja się nie mylę!

— Jakto?

Zawahała się. Zdjął ją niewytłumaczony, zabobonny lęk przed tyranią miłości rodzicielskiej, ogarnęło wzruszenie, chwytające człowieka zawsze ilekroć serce przed światem obnaża. Wzruszenie przemogło. Wyznała z głębi:

— Miłość się nie myli... kocham Kołczany... kocham pana, kocham Sierhieja, a i pana Jerzego także... moja wola jest również święta, chcę pojednać was wszystkich... ojca i syna...

Dziedzic spojrzał zdumiony: toczyła się nań istna lawina. Odruchowo zacisnął szczęki. Lawina z szumem przeleciała i runęła w błękitne jezioro. Czarnem jak noc okiem ścigał ją w tej błękitnej toni, jezioro było głębokie, były to dwa jeziora, były to oczy Tereni.

Pan Adam po raz pierwszy w życiu nie wybuchnął gniewem: szczęki niedość się zwały. W twarzy pozostała surowość, ale ustępowała z serca: a co będzie, jeżeli całkiem ustąpi? I pan Adam, srogi pan Adam musiał poszukać wyjścia z tej pułapki. Trącił tedy Sierhieja, siedzącego na kozle obok stangreta:

— Sierhieju, pobacz, — prawy koń każis kuhlaje?

— Nie, panoczku, — odparł Sierhieju, — nijak nie kuhlaje. Zaczem raz jeszcze pochylił się na kozle, i przypatrzył uważnie koniowi.

— Nie kuhlaje, — zapewnił raz jeszcze, ukazując dobroduszne oblicze, i w tejże chwili usiadł znów w postawie przepisowej, twarzą do koni. Ujrzał okrutnie srogą twarz pana.

Resztę drogi odbyli w milczeniu. Po powrocie do domu pan Adam zamknął się w sobie, i otoczył niedostępnością jak murem: tylko kwestje formalne, gospodarskie, służbowe. Święta przeszły, wiosna sięgała pełni rozkwitu, i nic nie zmieniło się w stanie rzeczy. Tereni nie opuszczał smutek sierocy. Żałowała niebaczного wyznania: kto wie czy nie zraniła człowieka, czy nie przywaliła na nowo ciężkiego grobowego kamienia?

Którejś niedzieli po powrocie z kościoła płakała długo, lecz łzy nie przynosiły ulgi. Wtedy wydobyła z kąta ponieczone od tak długą skrzypce.

Pośrodku ogrodu wznosiła się budowla, przeznaczona na narzędzia ogrodnicze i skład nasion. W języku Kołczańskim nazywano ją „trephausem”. Brzmiało to dość osobliwie, a pochodziło zapewne od słowa „Treibhaus”, co znaczy cieplarnia. Dom był z piętrem, cały okryty winogradem, o tej porze bezlistnym jeszcze. Na piętrze znajdował się niewielki ganeczek, skąd rozpościerał się widok rozległy na ogród, pola i łąki dookolne.

Tutaj przywędrowała Terenia. Tutaj nanowo objęła ramieniem swą niewymyślną skrzypkę. Za dotknięciem strun wewnątrz drewnianego pudeł-

ka zadrżało, jak serce człowiecze, podległe prawom rezonansu narówni ze światem. Skrzypce ożyły. Smyk, sunąc po nich, zamykał obwód ramion pieśnią. Błękitniało w oddaleniu powietrze. Błady krąg słońca przezierał z poza muślinu przybliżonych niebios. Zbudził się ogród zaśniony, usłyszawszy, jak skrzypce wołają go po imieniu, i kwiaty, rzekłbyś, ruszyły śladem „zaunywniej” białoruskiej piosenki. Wiły się oto girlandy fiołków, kaczeńców, stokroci, oplatając smyk czarodziejski, sunąc wielobarwnem, nieprzerwanem pasmem w takt jego ruchu. A potem drżały na strunach, jakby za wiatru powiewem na grządkach, bratki, narcyzy, peonje, krokusy, — chwiały się od powiewu melodji, jak nad brzegami wody zamyślonej, bukiety niezapominajek i wysmukłe ostrolistne irysy, aż wreszcie zniknął smyk, zniknęły skrzypce, i tylko kwitnąca gałąź jabłoni kołysała się nad mroczną, zakłętą głębina.

W kilka dni potem, na krótko przed zachodem słońca, Terenia snuła się zamyślona po mrocznych komnatach dworu. Zegar wydzwonił godzinę. Zachodzące słońce spoczywało na bronzach, mahoniach i zczerniałych portretach ciemną, dostojną pozlota. Dywany głużyły krok. Mimo to Terenia miała na nogach wedle zwyczaju miękkie, safjanowe ciżemki koloru wiśni. Bezludna cisza zalegała pokoje. Zachód podkreślał senną martwość rzeczy.

Gdy przeszła do biblioteki, lekki szmer w sąsiednim salonie zdradził obecność człowieka: pewnie pan Adam? Terenia zbliżyła się bezszelestnie ku drzwiom i uchyliła nieznacznie portjery.

W staroświeckiem dębowem karle siedział pan Adam ze słuchawkami na uszach. Napozór nie było w tem nic dziwnego: od jakiegoś czasu niedzielne seanse radjowe weszły u niego w zwyczaj. W tej tylko dziedzinie pozwolił sobie na małe ustępstwo na rzecz powojennego ładu (niewątpliwa zasługa Tereni). Jednak dziwnem mogło się wydać w tej chwili zachowanie pana Adama. Dziwnym i niepojętym wydawał się nerwowy ruch, jakim poprawiał co chwila i jakby umocowywał na uszach słuchawki, zmieniając przytem kilkakrotnie pozycję ciała, jak ktoś dręczony niepokojem. Nogi podsunął pod fotel. Głowa chyliła się coraz niżej. Coraz mocniej cisnął rękoma skronie i przyciskał do uszu słuchawki. Coraz mniej przypominał siebie: zakutego w stal wyniosłości rycerza. Terenia była świadkiem, jak rozluźniały się jakgdyby wiązania kunsztownej zbroi, kruszał i rozpadał widomie hartowny pancerz, ręka zbywała się miecza, wzrok — zawory srogiej: grozy surowego spojrzenia. Znalazło wreszcie dostęp i skryło się w głębi źrenicy uchodzące przed nocą słońce. I oto, jak pod naporem stłumionego wzruszenia, począł naraz trząść się i dygotać dziwacznie, siny, kamienny podbródek... Tereni zdało się, że śni: czyżby pan Adam powstrzymywał łkanie?! Święty Boże! Co to? Odrzuca słuchawki... zrywa się... zatacza... wybiega... ach...

Terenia nie rozumiejąc nic, nie śmiejąc biec za panem Adamem, podbiegła do radja: — wyjaśnienie? Miotaly nią sprzeczne uczucia: nieuzasadniona obawa i całkiem już niedorzeczna nadzieja. W okamgnieniu nałożyła porzucone słuchawki i latającemi rękoma uporała się z nastawieniem odbiornika.

Gotowe. Pierzchnął zły sen oddalenia. Przepadła odwieczna zaporą przestrzeni. Po przez próżnię świata czyjeś niewidzialne usta wymawiają nad uchem, owiane oddechem wyrazy.

Terenię pochwycił odrazu elektryczny tok dreszczu, zbiegającego stos:

pacierzowy, jak przy słuchaniu mistrzowskiego koncertu. Wszystkie krew spłynęła do serca, by uderzyć naraz gorącą falą, zachwyconym zamętem.

„Posłuchajcie, — mówiły niewidzialne usta, — czy słyszycie, jak dudni nasz krok? Idziemy dołem-padołem, kędy groźna przewala się burza, my, młodzi entuzjaści wschodzącego Jutra, bojownicy zahartowani na stal w czerwonych pożarach wojny. Idziemy, aby wytrącić na zawsze morderczą broń z ręki braterskiej, dybiącej na serce brata.

Łotrowstwu przeciwstawimy opokę świadomego podźwigu pracy; obłudzie — prawdę nieubłaganą i zdzierającą maski; zgrzybiałości i bezwładowi — siebie. Nie damy światu zasnąć! Starczy nam sił, by się z nim zewrzeć barami!

Jeszcze noc nas otacza... ale w nieobjętej otchłani nieba słyszać już radosny warkot motoru, i na sterze przyszłości spoczywa ręka śmiałego lotnika. Noc jeszcze zalega dusze, ale lampjony najśmielszych marzeń kołyszają się już na rozpiętych ponad ziemią antenach...”



...i uchyliła nieznacznie portjery...

Terenia słuchała.

Wpadały do ucha i zapadały w głąb serca te słowa. Usta niewidzialnego człowieka tchnęły w nie barwę, ton, plastykę, — życie. Terenia, za ledwie chwytając ich sens, słyszała to właśnie: ich życie, — tęgie żywiczne życie. To właśnie. I przycisnęła, przytuliła do uszu słuchawki, by nie uронić nic: jednego słowa, jednego oddechu, bo ten głos wracał jej życie, bo była w nim wiosna, słońce i kwiaty, i szafir nieba, i gwiazdy, i wszystkie pieśni skrzypiec, — bo to był głos Jerzego.

ROZRYWKI UMYSŁOWE



Rozwiązanie 9 krzyżówki pozaturniejowej
wykonane przez Jerzego Hermanowicza z Wilna

Malarstwo zaświadome

Napisał

Prosper Szmurło

Jednym z najciekawszych zagadnień psychologii jest niewątpliwie twórczość, którą obdarzony jest, zdaje się, jedynie tylko człowiek, zwierzęta bowiem, o ile wiemy, wcale zdolności tej nie posiadają, choć nie można odmówić im innych właściwości psychicznych, jak pamięć, wola, wszelkie uczucia — i w tem, być może, tkwi największa różnica pomiędzy nimi a ludźmi. Podziwiamy, co prawda, kunsztowne tamy i domki bobrów, mrowiska, gniazda ptaków, misterną sieć pajęczą, ale jest to przeważnie, jak u bobrów, pszczoł, mrówek, — jakby twórczość zbiorowa. Niema w niej nic indywidualnego, jak niemal w każdym wytworze rąk ludzkich. Poza tem nie dostrzegamy u nich żadnego postępu, żadnych różnic, jak w dziełach człowieka. Gniazdo lub mrowisko buduje się dziś tak samo, jak przed stu laty, a nawet może przed lat tysiącami.

Panuje powszechne niemal mniemanie, że twórczość jest darem rzadkim, w jaki uposażone są już od urodzenia wyjątkowe tylko jednostki. Jeżeli jednak zastanowimy się nad tem nieco głębiej — dojdziemy do przekonania, iż jest ona niezodzowną właściwością psychiki ludzkiej i w pewnym stopniu u każdego może się przejawiać, choć u większości pozostaje, nieraz przez całe życie, w stanie potencjonalnym, utajonym. Dowodem tego mogą być choćby dzieci, które, przez nikogo nie uczone, tak chętnie zabawiają się budowaniem domków i zamków z piasku, lub nieudolnem kreśleniem różnych figur i postaci. To samo prawie spotykamy i u plemion dzikich, stojących pod względem intelektualnym na tym samym prawie poziomie, co i dzieci. Twórczość ich wyraża się w zdobnictwie naczyń, oręzą, oraz głównie w wyobrażeniach bóstw, jakim najczęściej nadawane są kształty dziwaczne,



Nr. 1. Obraz medalny A. Lesage'a

fantastyczne, nigdzie w naturze nie spotykane, więc mowy tu być nie może o od twórczości, lecz właśnie o twórczości, choć dalekiej od naszego pojęcia o artyzmie. Twórczość i to nawet artystyczna istniała już w zaraniu ludzkości, prahistoryczni bowiem przodkowie nasi, u których krzesanie ognia i młot kamienny stanowiły epokowe wynalazki, żłobili już jednak, lub kreślili w swych jaskiniach wizerunki zwierząt, na jakie polowali. Widzimy więc, że jest to zdolność powszechna, niezależna nawet od posiadanej inteligencji, przejawia się jednak jaskrawo, względnie rzadko u niezbyt licznych poetów, artystów i wynalazców.

Czy twórczość jest świadomą funkcją naszej psychiki, czy też źródła jej należy raczej szukać w tak mało jeszcze zbadanych i prawie nieznanach głębiach naszej zaświadości, odgrywającej jednak w życiu daleko większą rolę, niż to się wielu wydaje.

Co się tyczy zwykłej odtwórczości nie wymagającej fantazji, lecz tylko wprawy, pewnego wykształcenia i polegającej na możliwie najdokładniejszym niemal fotograficznem oddaniu na płótnie, papierze, czy w postaci rzeźby jakiegoś istniejącego realnie wzoru, to odbywa się ona, oczywiście, zupełnie

świadomie. Inaczej zgola przedstawia się sprawa, jeżeli chodzi o istotną twórczość, czy to w dziedzinie poezji, muzyki, czy też sztuk plastycznych, wogóle o twórczość artystyczną, o niej bowiem tylko będzie dalej mowa. Wchodzi wtedy w grę i nasza zaświadomość i tworzy się półświadomie, lub nawet, niekiedy, zupełnie zaświadomie. Właśnie ową zaświadomą twórczość, lecz w węższym nieco zakresie, obejmującym tylko rysunek i malarstwo, postaram się niżej opisać.

Czyżby, jednak, tak trudna i skomplikowana czynność, jak twórczość mogła odbywać się zaświadomie? — Tak — i wie o tem każdy prawdziwy artysta, poeta, literat, nawet i uczony, jeżeli przeżywał kiedy chwilę tak zwanego natchnienia, gdy się zapomina chwilowo, gdzie i kim się jest, nie widzi się otoczenia, nie odczuwa bodźców zewnętrznych, pióro zaś, ołówek, lub pendzel z przedziwną łatwością, jakby samorzutnie, tworzą czasem nawet arcydzieła, przewyższające często normalne zdolności ich twórcy, który potem nie zdaje sobie dokładnie sprawy w jaki sposób powstały; dziwi się, że mógł je wykonać, choć pamięta dobrze, iż sam pracę rozpoczął. Widzimy więc, że choć impuls daje przeważnie świadoma wola, moment jednak najwyższego napięcia twórczego często nie zostaje uświadomiony, działa bowiem wtedy zaświadomość.

Twórczość zaświadomą nie jest nawet tak trudno zademonstrować, co też nieraz robiłem u osób pogrążonych w hipnozie, gdy pod wpływem odpowiedniej sugestji piszą one, grają, śpiewają, rysują, lub malują czę-

sto z większą wprawą i talentem, niżby to świadomie mogły uczynić, po obudzeniu się zaś nic o tem nie pamiętają, nie chcą nawet wcale wierzyć, że naprzykład dany rysunek przez nich został wykonany. To samo, choć rzadziej, może mieć miejsce i w autohipnozie, co też sam parokrotnie obserwowałem u artysty-malarza, p. Arnolda Radwan-Radziszewskiego.

Przejdźmy teraz do najzawilszej sprawy. mianowicie do artystycznej twórczości medjów. Medjalność polega nietylko na wywoływaniu niezwykłych zjawisk fizycznych w rodzaju lewitacji, telekinezji, materjalizacji etc., ale też i na przejawianiu się zdumiewających zdolności psychicznych, między innemi i do rysunku i malarstwa nawet u osób, które świadomie nie mają o tem najmniejszego pojęcia. Zaczniemy od tak zwanego rysunku automatycznego. Medjum, prowadząc niekiedy rozmowę, lub czytając i nie tracąc ani na chwilę świadomości, kreśli jednocześnie na papierze, wcale nań nie patrząc, jakiś, czasem wprost artystyczny rysunek takiej, lub innej treści, choćby normalnie wcale rysować nie umiało. Ponieważ świadoma uwaga zajęta jest wtedy rozmową etc., twórczość tego rodzaju uważać należy za zaświadomą. Zdolnością taką obdarzony był naprzykład znakomity dramaturg francuski V. Sardou, z pod ołówka, lub pióra którego wyłaniały się przedziwnie subtelne i fantastyczne rysunki.

Zdumiewające są duże, dochodzące do 9 metr. kw. obrazy olejne Lesage'a, które oglądałem w Paryżu. Augustyn Lesage, Francuz, ur. w 1876 r., skończył tylko szkół-



Nr. 2. Zagadkowy rysunek medjum czeskiego



Nr. 3. Obraz medjum Heleny Grégoire

kę powszechną, od 14 roku życia pracował stale w kopalniach, jako robotnik, nigdy nie uczył się rysować i nie brał do ręki ołówka, interesował się natomiast spirytyzmem i posiadał dar pisma automatycznego, za którego pomocą w 1912 r., gdy miał 36 lat, otrzymał nakaz, jak mniema od duchów wyższych, zakupienia farb, pendzli, płótna i wymalowania obrazu. Posłuszny nakazowi Lesage, którego poznałem osobiście w 1925 r., wracając zmęczony po całodiennej pracy do domu, siadał przed stalugami, nabierał na pendzel którejkolwiekbyś farby i zbliżał go do płótna. Wtedy ręka jego, choć zachowywał zupełną świadomość, poczyniała automatycznie, jakby od niego niezależnie, malować niezrozumiałe dlań kreski, linie, kropki, zmieniać pendzle i farby i w ten sposób powoli przez szereg dni powstawał przedziwny wielobarwny, jedyny w swoim rodzaju obraz wykonany, pomimo swej wielkości, z precyzyjnością minijatury. Obrazy Lesage'a przedstawiają przeważnie jakieś

bajecznie fantastyczne, piętrzące się jedno nad drugimi gmachy, przypominające pagody indyjskie z niezliczonych kondygnacji o odrębnym charakterze architektonicznym każda, wszystkie jednak razem tworzą harmonijną całość, sprawiającą wrażenie precudnej różno-kolorowej mozaiki. Rys. Nr. 1 przedstawia reprodukcję jednego z ostatnich jego obrazów o odmiennym już nieco charakterze, z twarzami ludzkimi, stylizowanemu ptakami etc., uderzający niezwykłą symetrią, niedoścignioną, zdawałoby się, bez linii, cyrkla, kalki, których jednak medjum wcale nie używa.

A jednak może prawie każdy z nas posiada w pewnym stopniu zdolność do rysunku automatycznego. Wydaje się to nieprawdopodobne. Sądzę jednak, iż wielu z czytelników, mając pod ręką skrawek papieru i ołówek i tocząc rozmowę, lub przysłuchując się jej, jednocześnie, nie zdając sobie z tego sprawy, kreśli nieraz bezwiednie, przeróżne esy-floresy, figurki, arabeski i t. p.



Nr. 4. Kotzian — kwiaty astralne



Nr. 5. Kotzian — Dziwny kwiat

w których odzwierciedlają się poniekąd ich myśli, dążenia, nastroje, jeżeli zaś sami tego nie doświadczali, to mogli pewno obserwować u innych. U medjów, jak sądzę, ta sama zdolność przejawia się w stopniu stokrotnie spotęgowanym.

Dłużej nieco wypadnie zatrzymać się nad rysunkiem i malarstwem w mniej lub więcej głębokim transie. Oprócz braku świadomości najciekawsze jest to, że w transie tworzą niekiedy istne dzieła sztuki zarówno medja, władające w stanie normalnym ołówkiem, lub pendzlem, jak i zupełni pod tym względem analfabeci, którzy nigdy przedtem nie nakreślili najprostszego rysunku. Godnem też jest zastanowienia, iż transowe rysunki i obrazy, ze względu na warunki, w jakich niekiedy bywają wykonywane, na przykład, z zamkniętymi oczami, w zupełnej ciemności, z niewiarogodną szybkością, i t. p., przekraczają czasem wogóle normalne zdolności ludzkie.

Bywały wypadki, że medjum w transie portretowało nigdy przez siebie niewidziane osoby zmarłe lub nieobecne (co można tłumaczyć i jasnowidzeniem). Rysunki i obrazy transowe powstają niekiedy w przeciągu paru minut, czasem zaś wymagają szeregu seansów i przedstawiają niezwyklej różnorodność, na przykład: desenie, ornamentacje, kwiaty stylizowane, zwierzęta, widoki, świątynie, portrety, symboliczne wyobrażenia uczuć i idei abstrakcyjnych, jakieś fantastyczne postacie, larwy, elementale etc.

Medjum zm. prof. Flournoy w Szwajcarii, Helena Smit, świadomie wcale nie umiejąca rysować, w transie wykonała mnóstwo rysunków przedstawiających, według jej słów, krajobrazy, budowle, florę i faunę na Marsie, co oczywiście jest i chyba pozostanie zawsze niesprawdzalnym. Inne medjum, Marja Vuiller rysowała ptaki, drzewa i kwiaty istniejące podobno na planecie Wenus. Zdarza się czasem widzieć rysunki medjalne tak fantastyczne, że niepodobna wprost określić, co wyobrażają, choćby, na przykład rys. Nr. 2, czeskiego medjum, przedstawiający jakby przekrój jakiegoś nieznanego organu, jeżeli nie muszli, lub grzyba, albo rośliny, a może jakiś drobnoustrój. Helena Grégoire, medjum hr. Le Loup de Sainville a, od 1922 r. wykonywająca w lekkim transie wprawie rysunki geometryczne, potem zaś barwne, dekoracyjne, w 1927 r. zaczęła już



Nr. 6. M. Gruzewski — „Obłęd”

rysować pastelami i głowy ludzkie (rys. Nr. 3), choć przedtem nigdy w życiu tego nie próbowała.

Co do wartości artystycznej obrazów transowych, to są wśród nich jakby nakreślone niewprawną ręką dziecka, ale zdarzają się też i istne dzieła sztuki, jakich nie powstałby się największy artysta. W twórczości medalnej tak samo, jak i w normalnej, można dostrzec pewien postęp, stopniowe opanowanie techniki, wyższy poziom artystyczny, jak na przykład u wspomnianej H. Grégoire, pomimo to jednak obrazy jakiegos medjum zachowują niemal zawsze pewien właściwy mu charakter, tak pod względem sposobu wykonania, jak i tematów. Są medja rysujące tylko jakieś fantastyczne kwiaty i rośliny, jakich nie potrafiłby określić żaden botanik, nie istnieją bowiem wcale na naszym globie, na przykład Kotzian (rys. 4 i 5). Inne medja mają predylekcję wyłącznie do twarzy ludzkich, inne zaś — do krajobrazów, lub rysunków symbolicznych, dekoracyjnych etc. i dlatego wprawne oko odróżni odrazu pracę takiego, lub innego medjum, tak jak znawca pozna z łatwością na wystawie obrazy znanych arty-

stów, choćby wcale nie były podpisane, noszą one bowiem piętna indywidualności ich twórców.

Malarstwo transowe należy do rzadziej spotykanych zdolności medialnych, jednak było i jest tyle obdarzonych nimi medjów, że na zagranicznych wystawach spirytystycznych w Genewie w 1910 r., w Londynie, Edynburgu, Kopenhadze, w Paryżu w 1925 r., którą osobiście zwiedzałem, oraz w szeregu miast w Czechosłowacji, można było wśród innych eksponatów oglądać też liczne rysunki i obrazy wykonane przez różne medja, jak: Hugo d'Alesi, Agullana, Bernard, Chatterlier, Damade, Dizier, Haquet, Havez, Joubert, Lormier, Grégoire, Lesage, Vuiller, Mayer, dr. Krey, Vallent, Waiditsch, K. Fischer etc. Najwięcej, zdaje się, medjów tego rodzaju posiada obecnie Czechosłowacja, mamy tam bowiem Kotziana, Samoleja, J. Krygela, R. Cecha, K. Lissy, Gzonko-



Nr. 7. Rysunek wykonany w transie przez M. Gruzewskiego — „Ziemia”



Nr. 8. M. Gruźewski — „Puhacze”

wa i A. Holajnowa, u której zdolność ta ujawniła się dopiero w 62 roku jej życia. O najwybitniejszym według mnie z nich wszystkich polskim medjum p. M. Gruźewskim, który parokrotnie urządzał wystawy swych niezwykłych obrazów w Warszawie i Paryżu, pomówię obszerniej.

Marjan z Młodzianowa Gruźewski, którego, jak i jego rodzinę, znam od 20 lat, urodził się w Wilnie, 8 września 1896 r. Niezwykle jego zdolności medialne przejawiały się po raz pierwszy przed kilkunastu laty na seansach próbnych i nader szybko zaczęły się rozwijać, tak w kierunku objawów fizycznych, których sam nieraz byłem świadkiem^{*)}, jak głównie, a potem niemal wyłącznie, w kierunku psychicznym. Wprowadzając sam siebie przy pomocy pewnej koncentracji i specjalnego sposobu rytmicznego oddychania w trans, p. Gruźewski pisał w tym stanie wiersze i improwizował na zadany mu temat całe poematy, choć w stanie normalnym daru poetyckiego nie posia-

da, lub wygłaszał przemowy, których treść przekraczała często zakres jego wiedzy. W 1919 r. poradziłem mu raz, aby przygotował papier i ołówki i wzbudził w sobie przed zapadnięciem w trans silną chęć narysowania czegoś, zamiast pisania lub deklamowania. Już pierwsza próba tego rodzaju dała wynik dodatni, następne zaś powiodły się jeszcze lepiej. Muszę dodać, że p. Gruźewski dowolnie zapada w trans w 45—60 sek. w ciemności, lub przy słabym świetle czerwonym. W ostatnim wypadku obecni mogą skonstatować, iż rysując, oczy ma zamknięte, lub może, przymknięte. Nie podnosząc opuszczonych powiek, medjum ujmując ołówki i, pozornie beładnie, nie kreśląc żadnego konturu, szybko i chaotycznie rzuca na papier to tu, to tam, jakieś linie, kreski, plamy, które dopiero przy końcu łączą się z sobą w harmonijną całość. Dziwny ten sposób rysowania najlepiej, zdaje się, określił obecny na paru próbach znany artysta-malarz p. M. Wawrzyniecki, mówiąc, iż ma się wrażenie, jakby medjum od razu już widziało na czystym jeszcze papierze cały dla innych niewidzialny obraz, któ-

^{*)} Patrz „Zagadnienia metapsychiczne” Nr. 7—8, str. 386—390.

ry tylko utrwała ołówkiem, lub kredką. Niektóre rysunki wykonane były w absolutnej ciemności.

Zastanawiające jest również i to, że medjum rysowało od razu, bez chwili namysłu, dany mu w ostatniej chwili po zapadnięciu w trans temat, czasem bardzo trudny, nad którym każdy chyba artysta zastanawiałby się może bardzo długo, robił szkice, poprawiałby je i modyfikował, p. Grużewski zaś w transie nic nigdy nie poprawiał i nie zmieniał ani jednej linii. Rysunki z pierwszego okresu twórczości medjalnej p. Grużewskiego przedstawiają twarze i postacie jakby utkane z mgły, lub widziane przez dym o niezdecydowanych i nieco rozlewnych konturach. Wkrótce, jednak, na jego późniejszych rysunkach linje stają się śmiałe, zdecydowane, wskazują na pewną rękę i brak wszelkich wahań, na przykład na rys. Nr. 7, przedstawiającym w niezwykle oryginalny sposób podwójny ruch ziemi naokoło słońca i własnej osi. Rysunki tego rodzaju, nawet pastelowe w paru kolorach, wykonane były przez medjum z zadziwiającą szybkością, od

5 do 15 minut. Niekiedy tworzył ich po kilka dziennie. Rysunki w hipnozie na przykład udawały się gorzej. Potem p. Grużewski zaczął malować pastelami i olejno duże wielobarwne obrazy o wysokim poziomie artystycznym i w dzień, przy świetle, ale już w głębokim, trwającym niekiedy nawet godzinę transie, podczas którego oczy miały otwarte. Niekóre obrazy wymagały paru seansów. Czasem w transie wyjaśniał znaczenie i symbolikę obrazów, zawsze jednak przemawiał wtedy w imieniu jakiegoś zmarłego artysty, o sobie zaś odzywał się, jak o kimś postronnym. Po obudzeniu się z transu, p. Grużewski nie pamiętał nigdy co się działo podczas jego trwania, czy i co wtedy malował, lub mówił.

Treść jego obrazów jest najróżnorodniejsza i świadczy o niezwykle szerokiej, nie spotykanej u innych medjów skali, oraz wielostronności przejawiającego się u niego w transie talentu. Oto niektóre tytuły jego prac: Św. Franciszek, Jezus Chrystus, Stworzenie Ewy, Kain, Judasz, Szatan, Lokusta, Zuzanna, Dante, Śmierć Safo, Marsz żałobny



Nr. 9. M. Grużewski. — Wykonany w transie portret P. Szmurły

Chopin'a, Legenda, W Astralu, Chorera, Tajemnica Egiptu, Czyściciel, Wizja z Apokalipsy, Rzucanie uroku, Ukrzyżowana Roścja, Kwiat paproci, Obłąd (rys. Nr. 6), Pułacz (rys. Nr. 8), Wampirzyca, Izolda, różne krajobrazy, kwiaty, etc. Część tych obrazów i rysunków wykonana była w mojej obecności. We wszystkich obrazach ekspresja twarzy, zwłaszcza oczu, odzwierciedlających takie lub inne uczucie, nadzwyczajna. Umieszczone tu reprodukcje paru obrazów p. Gruźewskiego (rys. Nr. 7 i 8) dają o nich słabe tylko pojęcie. Trzeba widzieć oryginały z ich przedziwnym bogactwem barw, czego fotografja oddać nie może. Nic dziwnego, że wystawy obrazów naszego polskiego medjum w Warszawie i Paryżu budziły powszechne zdumienie, niezwykła zaś jego twórczość uważana jest przez większość za nierozwiązalną wprost zagadkę.

Zapomniałem nadmienić, że, oglądając obrazy p. Gruźewskiego, ma się wrażenie, nie odczuwane wobec prac innych medjów malujących, iż są one dziełem kilkunastu co najmniej artystów, do tego stopnia różni się między sobą, pod każdym względem; nie chce się wprost wierzyć, że wykonał je jeden tylko człowiek. Poza tem jedno z nich

łudzko przypominają dzieła Matejki, drugie Wyspiańskiego, inne zaś Leonardo da Vinci, Michała Anioła, Velasqueza, Goyę etc., co spirytyści tłumaczą wcielaniem się w medjum podczas transu duchów tych mistrzów, inni zaś sądzą, że może ma tu miejsce fenomenalna pamięć wzrokowa i genialny dar naśladowczy.

Wspomniane wyżej właściwości pozwalają, mojem zdaniem, uważać p. Gruźewskiego za najwybitniejsze i najciekawsze ze wszystkich znanych, medjum malujące. Jest on też, o ile wiem, pierwszym i bodajże jedynym medjum wykonywającym w transie i portrety osób żyjących w oryginalny, co prawda, sposób. Portretując mnie w 1920 r., gdy służąc, jako ochotnik, w wojsku nie nosiłem czasowo brody, (rys. Nr. 9), zachowanej jednak na portrecie u mego sobowtóra astralnego obok, p. Gruźewski, w głębokim transie, przglądał mi się tylko przez kilkanaście sekund, potem uczynił znak, abym ustąpił na stronę i zaczął malować, wpatrując się bacznie od czasu do czasu na opróżnione przeze mnie krzesło, jakgdybym w dalszym ciągu tam siedział. Wyobrażone na portrecie głowy, według danych w transie rzekomo przez Wyspiańskiego wyjaśnień, mają symbolizować różne moje właściwości psychiczne, jak: uczucia, intelekt, wolę, stojący ponad niemi duch, ich wzajemny do siebie stosunek, czaszka zaś — interesowanie się problematem życia zagrobowego. Był to, zdaje się, jego pierwszy portret żyjącego człowieka, potem wymalował ich cały szereg.

Późniejsze portrety p. Gruźewskiego różnych osób są dwóch rodzajów: jedne traktowane naturalistycznie i zwykle uderzająco podobne, z tą tylko różnicą, że dana osoba przedstawiona jest na nich nie we współczesnym, używanym przez nią ubraniu, lecz w stroju z innej epoki, czasem i innego narodu, który najlepiej odpowiada jej rysom, charakterowi, poglądom, wogóle jej psychice, na przykład, portret p. Br. Korwin-Wróbiewskiego (rys. Nr. 10), właściciela majątku Wiżulan koło Wilna, który pierwszy, o ile wiem, zainicjował seanse próbne z udziałem p. M. Gruźewskiego, dzięki czemu przejawiała się wtedy jego medjalność, — drugie zaś, tak zwane inkarnacyjne. Na tych ostatnich, portretowany przedstawiony bywa



Nr. 10. M. Gruźewski — portret Br. Korwin-Wróbiewskiego — wykonany w transie.



Nr. 11. M. Gruzewskiego — Portret rzekomo inkarnacyjny hr. H. Le Loup de Sainville

zwykle w dwóch, a czasem i trzech postaciach: taki, jaki jest obecnie, oraz jaki miał być rzekomo przed setkami, lub tysiącami lat w poprzednich swych życiach, tło zaś wyobraża kilka scen z owych dawnych bytów, niekiedy oprócz tego figuruje jeszcze jego duch opiekuńczy i bliskie dlań przed wiekami osoby. Na takim właśnie portrecie (rys. Nr. 11), znanego mi osobiście i bardzo tu podobnego francuskiego artysty-malarza i metapsychika, hr. Le Loup de Sainville'a (mężczyzna z brodą) widzimy go również, jak wyjaśnił w transie p. Gruzewski, i u dołu z profilu, jako Atlante, obok zaś kochaną wtedy kobietę, pod której wpływem wzniecił on bunt przeciw władcy Atlantydy (z lewej strony niesionemu przez niewolników), zrzucił go z tronu i sam zajął jego miejsce.

Jeszcze kilka słów o tem, jak usiłują wyjaśniać twórczość transową. Jedni, mianowicie spirytyści, przypisują ją działalności duchów zmarłych artystów, posługujących się

tylko medjum, jak biernym instrumentem, — inni zaś mniemają, że ma tu miejsce niezwykle spotęgowanie w pewnym stanie psychicznym istniejących już choćby w zarodku, lub ujawnianie się ukrytych, niepodejrzewanych i odziedziczonych być może po przodkach różnorodnych zdolności artystycznych, oraz sądzą, że działa tu wyłącznie nasze własne, ale wyższe „ja”, siedliskiem którego jest nasza nadświadomość.

Nie odrzucając pierwszej z podanych hipotez, rozważałem tu jednak dane zagadnienie z punktu widzenia drugiej, w większości bowiem wypadków może być ona, zdaje się, zastosowana. Mam nadzieję, że szczegółowsze badanie i analiza twórczości medjalnej dopomogą do rozproszenia choć nieco mroków, osłaniających jeszcze niemal wszystko, co dotyczy zaświadomości i pogłębią przez to naszą wiedzę o własnej psychice, nie mieszczącej się bynajmniej w ciasnych ramach naszej normalnej świadomości.

Z życia rybek w akwarjum

Największą przyjemnością dla amatora-hodowcy rybek w akwarjum jest bezwątpienia możliwość rozmnażania tych rybek. Możliwość ta wydaje się jednakże niejednemu czemś niedoścignionem. A niesłusznie, w najmniejszym bowiem akwarjum można rozmnażać najpiękniejsze rybki egzotyczne i zapoznać się najdokładniej z ich życiem w niewoli i sposobem ich bytowania.

Z istniejących i znanych przyrodnikom rybek egzotycznych najpiękniejsze pod względem formy i barw są dwie rodziny: złote karasie japońskie (*carassius auratus japonicus*) oraz cychlidy (*cichlidae*).

Liczne rodzaje rodziny cychlid zamieszkują w wodach słodkich południowo-zachodniej Azji, podzwrotnikowych stron Afryki oraz środkowej i południowej Ameryki.

Najoryginalniejszym, najbardziej efektywnym i najpiękniejszym okazem tej rodziny jest *Pterophyllum scalare*, przywieziona pierwszy raz do Europy w r. 1909, przez miłośnika Sigelkow'a z Hamburga z głębin Amazonki. Wskutek braku najelementarniejszych wiadomości o sposobie bytowania *Pterophyllum* cały transport ich przepadł. Dopiero w r. 1911 rozpoczęto sprowadzać te piękne rybki i próbować je rozmnażać. Próby rozmnażania trwały dość długo, gdyż zaledwie kilka lat temu miłośnicy niemieccy doszli do odpowiednich rezultatów swych badań.

Rybka ta jest z boków zupełnie spłaszczona, podobnie, jak flądra, natomiast wysokość jej na wolności sięga 15 cm. i wyżej. Rybka o przynajmniej połowie wymienionej wysokości zdolna jest do tarła.

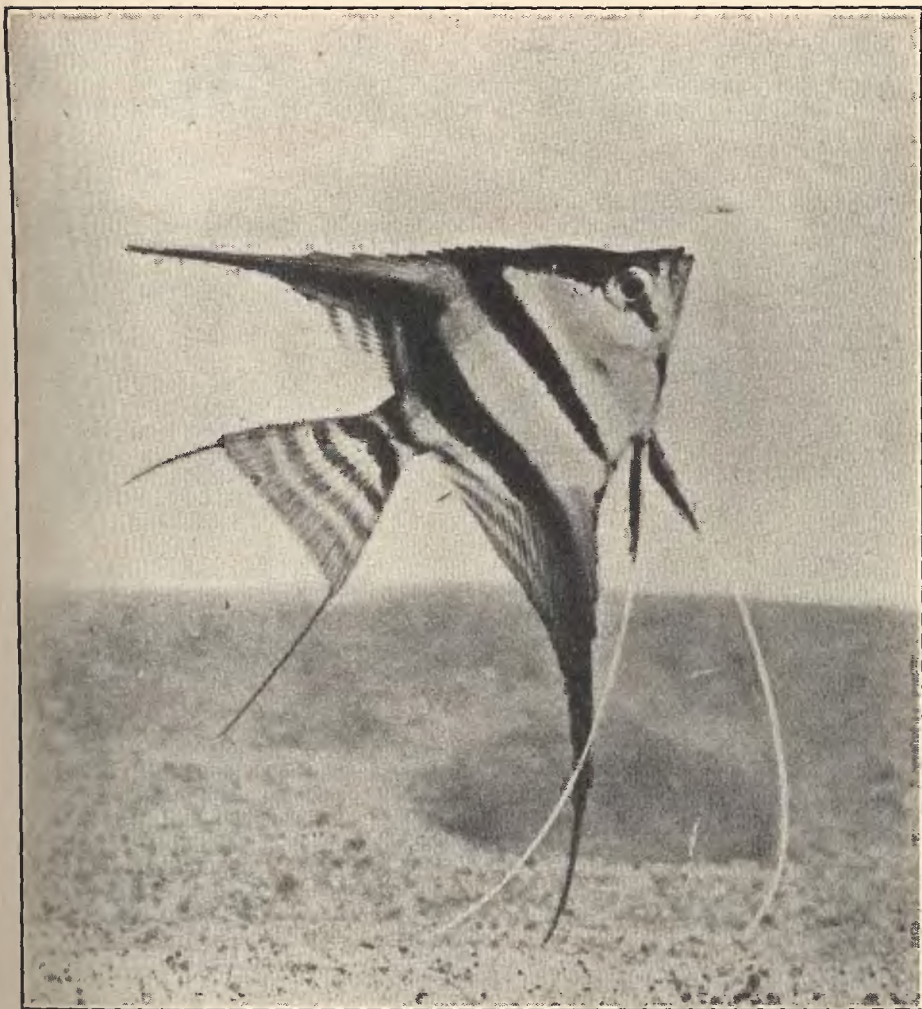
Korpus tej rybki jest prawie kolisty i wprost niebywale płaski, pokryty drobniotętną, ledwie dostrzegalną, mieniającą się, srebrzystą łuską i wydaje się dzięki wyciągniętemu grzbietowi oraz niezwykle wysokim, wachlarzowatym płetwom bardziej wysoka, niż długa. Płetwy, oprócz niewiel-

kich piersiowych są bardzo rozwinięte, natomiast płetwa grzbietowa i podołonowa stosunkowo olbrzymia o formie trójkąta z bardzo wydłużonymi, środkowymi promieniami, płetwa znów ogonowa również jest trójkątna, a ponadto brzegi jej zakończone są długimi promieniami, występującymi poza obręb jej błony. Pierwszy promień płetwy brzusznej jest twardy, a z pośród następnych miękkich promieni — pierwszy wyciągnięty jest, niby jedwabna nitka, wychodząca poza wiążącą je błonę, sięgająca u samców poza płetwę ogonową.

Zasadniczy koloryt rybki jest połyskująco-szaro-oliwkowy z srebrzystym odcieniem, grzbiet jest ciemniejszy, niż boki i brzuszek. Po przez opisany koloryt przechodzi siedem ciemnych, prawie czarnych, poprzecznych pasm, z których piąta, licząc od głowy, jest szersza i ciemniejsza od pozostałych, przecina ona bowiem grzbietową i podołonową płetwy. Pasma te występują bądź to w kolorach bladych, bądź też w bardzo ciemnych, najszerzy rozpościera się aż do bardzo wyciągniętych i wydłużonych promieni płetw grzbietowej i podołonowej. Pasma te są wyraźniejsze na zarybku, natomiast u dojrzałych rybek można tylko zauważyć dwa z nich, pozostałe czasami znikają, nigdy nie są tak wyraźne, jak u zarybka.

Zakończenia płetw grzbietowych są koloru ciemno - karminowego. Promienie płetw brzusznych są koloru cytrynowego u rybek dorosłych, sięgających 15 cm. długości. u samca są dłuższe i bardziej żółte.

Dzięki oryginalnemu kształtowi i bogatemu ubarwieniu rybka ta cieszy się wśród miłośników wielkiem powodzeniem, a nawet jest modna, a przeto jest chętnie hodowana. Należy zaznaczyć, że *Pterophyllum scalare* jest niezwykle delikatna, nerwowa i wrażliwa na zmianę warunków tak dalece, że przeniesiona z jednego do drugiego akwarjum, zanim się zaaklimatyzuje, jest bardzo apa-



Fot. Dr. Welfe

*Okaz Pterophyllum scalare (wielkość naturalna) z hodowli rybek egzotycznych
p. Br. Sowińskiego*

tyczna i swe niezadowolenie okazuje w wypowiedzeniu parodniowej głódówki, a nawet dość często zasypia.

Pterophyllum scalare lubi czystą, przezroczystą, klarowną, a jednocześnie starą i głęboką wodę o temperaturze 22 do 25, a podczas tarła do 30 stopni R. Pokarm lubi żywy, który dla niej jest niezbędny.

Ikrę składa samiczka na łodygach wodorostów lub też wstawianych do akwarium kolorowych, szklanych rurkach, na którą należy zwracać baczną uwagę, aby wyklute potomstwo nie przepadło.

Kazimierz Rogala-Kosiński

Odpowiedzi grafologa

Osoby, życzące sobie mieć ocenę swego pisma, zechcą napisać, *nie przepisać!* najmniej trzy strony *atramentem, bez linii*, podpisać pseudonimem — aczkolwiek podpis jest ważny — załączając 4 zł., jako honorarium. Na odpowiedź listowną, należy na koszty, dodać 1 zł.

Redakcja „Naokoło Świata” prosi o nadsyłanie listów: Warszawa, ul. Wilcza 33, Z. Pruska, dla grafologa.

P. Tur...wicz. Pismo Pana wykazuje typ pewnej nieprzenikliwości, nieufności i jest wybitna skłonność do dysymulacji — dziś jeszcze powstrzymywana. Typ pisma ludzi — wiecznych malkontentów, a mających siebie za ofiary. Są to ludzie nieszczęśliwi — bo nie umieją swoich bólów utopić w miłosierdziu dla innych. Gdy się myśli o ogromie cudzej niedoli — to swoja wydaje się nikła. Ponieważ koniec listu mówi o nadziei lepszego jutra, grafolog z całą życzliwością, ale i bezwzględnością, wykazuje błędy. Brak Panu szczerości a poszukiwanie prawdy jest najważniejszym zadaniem człowieka. Prawdę znajdzie Pan tylko w jasnych i pogodnych myślach, w szczerem i ufnem postępowaniu z ludźmi, w naturze, a nigdy w fałszu i obłudzie. Powie mi Pan, że to „nie popłaca” — a ja powiem, że życie to walka i że wszędzie i na tem pustkowiu można *dobrze* czynić i kształcić ducha. Charakter zmienny, chwilami miękki i łagodny, łatwo i bez powodu zmienia się na cierpki a nawet są objawy szykan. Łatwo zapalny, pełen porywów i entuzjazmu, ale fantazja rządzi sercem, wszystko pogmatwane, niejasne i często rozpaczliwa decyzyja popsuje to, co poryw serca podyktował. 28 lat! Hej! Młodości! ty nad poziomy wylatuj... Grafolog szczerze życzy, aby te przecudne słowa wieszczka trafiły do duszy Pana i obudziły te lepsze, a dremiące w Panu instynkty.

P. Kaz... Kos... Dlaczego pan się obwinia o lenistwo? Jeżeli to chęć mistyfikacji, to w tym wypadku grafologa trudno podejść. I jest to może najszczytniejsza walka zmagania siebie. Są ludzie zapracowani i mówią, że podłożem ich natury jest lenistwo.

Błogosławione to lenistwo i jeżeli Pan pisał prawdę, to jest z tego typu, bo ani jeden rys nie mówi o lenistwie. Charakter Pana jest bezwzględnie mocny, równy i zrównoważony, więc też nie rozumiem dlaczego Pan pisze o braku równowagi ducha; bez pesymizmu, prędzej skłonność do zapału i uniesień. Wrażliwy, przenikliwy, podatny wrażeniom chwili, o dużej wyobraźni, energii, temperamentcie, lecz mało czuły. Są objawy cierpliwości i uporu. I tu pewno jest powód skargi na uczucie osamotnienia, o którym Pan pisze. Serce kupuje się sercem, a tego jednego zdaje się, Panu brak, ale to i dosyć. Charakter przejrzysty, naturalny, umysł umiejący się skupić. Zamknięcie się w sobie, aczkolwiek natura szczerą, nie mającą nic do skrywania. Człowiek mówiący: „jestem winien”, nawet, gdyby był winien, stoi wyżej od tego, który tylko zna swoje zalety i mówi o nich. Z wadami przychodzimy na świat, zupełnie jak z garbem, lub zezem, ale jeśli znamy nasze wady, to już samo przyznanie się do nich jest zwycięstwem dobrego nad złem. Cały dzień daje nam możliwość zwalczania swych wad i o ile większa zasługa, jeśli się to czyni z nakazu woli a wbrew naturze. Grafolog z serca życzy wytrwania w tej walce zła z dobrem, boć całe życie to walka, tylko jeden walczy o zaszczyty i góry złota a inny o ewolucję ducha. To zwycięstwo nigdy nie zawiedzie! List wysłany 21 stycznia.

P. A. Mys... Charakter zdecydowany, pewny siebie, mocny, zrównoważony. Rozum bierze górę nad uczuciem, bo wrażliwość nieduża a przeciwnie jest opór i protest. Zamiłowanie do wystawnego życia, rozrzutność, wykwintne upodobania, poczucie piękna. Zupełnie trafne uwagi są Sz. Pani, że grafolog o przyszłości nic powiedzieć nie może, nie neguje jednak istnienia jasnowidztwa u osób, obdarzonych tym duchem, które nieraz bardzo trafnie przepowiedzą przyszłość. Do nauk okultystycznych grafologia też należy. Pismo Pani, jako „klasyczne” traci trochę cech grafologicznych. List wysłany d. 24 stycznia.

Technika nowoczesnego banku

Napisał

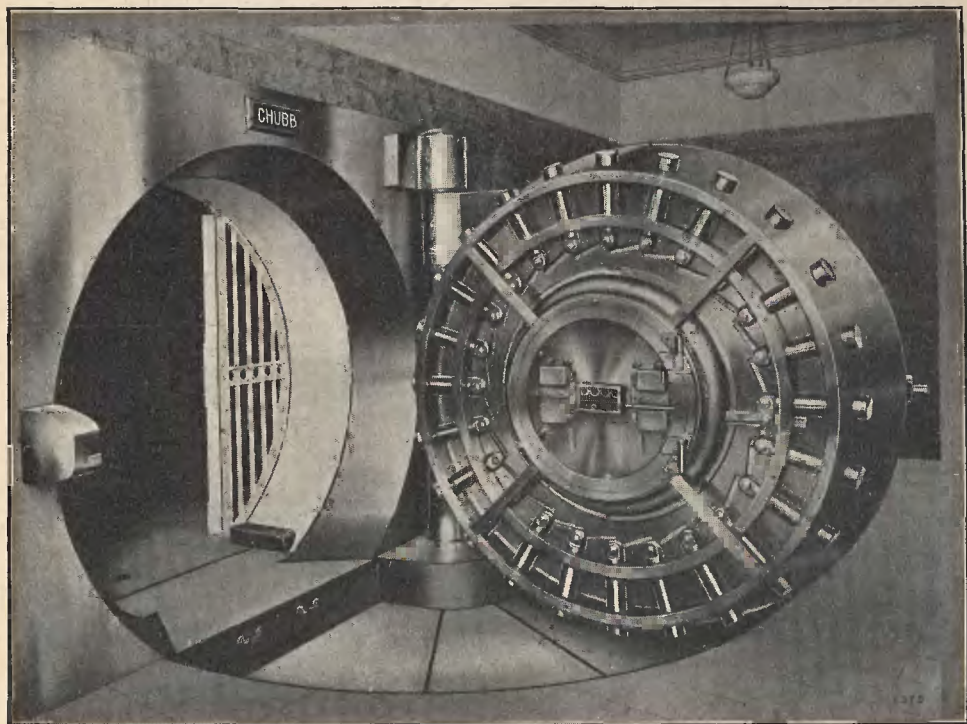
Stanisław Punicki

Bank nowoczesny jest motorem całego życia gospodarczego. Banki są akumulatorami energii, są temi komórkami, które w społeczeństwach nowoczesnych przepły-

wa tajemniczy fluid, prąd nieustanny i wartki żółtego metalu i barwnych papierków, będący na ustach wszystkich, tysiącrotnie błogosławiony i przeklinany demon gigan-



Wielki gmoch centrali Midland banku w Londynie, będący w budowie. Siedziba największego banku na świecie. Kapitał tego banku wynosi \$ 11 milionów i posiada 1484 własnych oddziałów



Drzwi wchodowe do skarbcza jednego z banków londyńskich wagi 23 tony, średnicy zewnętrznej 3,15 m., grubości 85 cm. Mechanizm zamku, uprawiającego w ruch 24 stalowe bolce kontrolują 4 chronometry w ten sposób, że otwarcie drzwi możliwe jest tylko w godzinach urzędowych nastawianych dowolnie w mechanizmie.

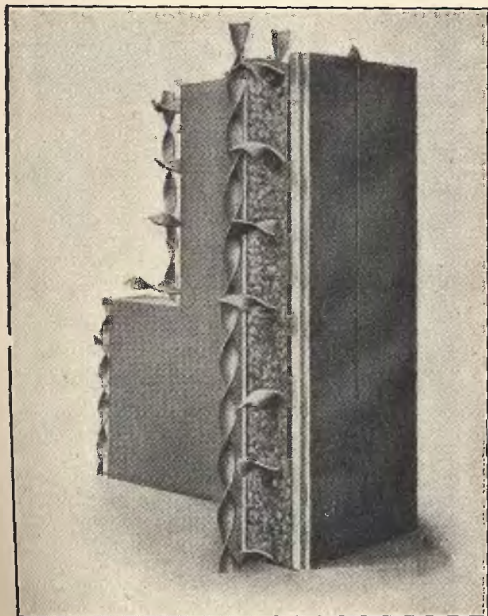
tycznej, dzisiejszej budowlі społecznej — któremu na imię pieniądź. Do roli władczej, pełnej dostojenstwa i powagi, którą daje potęga pieniądza, dostosowały się banki nowoczesne swym wyglądem zewnętrznym. Lecz w spokojnych zewnątrz, majestatycznych murach banków doby współczesnej wre gorączkowa praca. Olbrzymi postęp w dziedzinie techniki, który przekuł cały ustrój społeczny i gospodarczy prawie w naszych oczach, który całe życie przesycił wibracją szalonego tętna — porwał za sobą i bank współczesny. Stanęły przed nim zupełnie nowe zagadnienia — lecz z drugiej strony do ich rozwiązania otrzymał środki techniczne, o których nie marzyła nawet fantazja 19-go stulecia. Bank nowoczesny to niby olbrzymia radiostacja, która wysyła dalekonośne fale, dłuższe i krótsze, odbiera niewidzialne zdania, kreśli niezrozumiałe dla laika znaki. Wszystko odbywa się cicho, sprawnie, nieznacz-

nie — jeden ruch ręki rozwiązuje najzawilsze zadania rachunkowe, świstek papieru przenosi własność olbrzymich mas pieniędzy i towarów, parę słów wymówionych do mikrofonu stwarza milionowe transakcje. Na pozór nic się nie dzieje — a w głębi tego skomplikowanego aparatu, zwanego w gwarze ludzkiej bankiem, odbywają się zjawiska skomplikowane i dokonywają się olbrzymie zmiany.

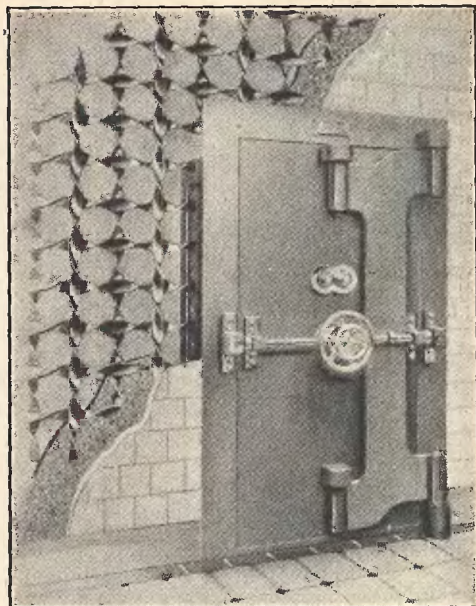
Budynki banków, zwłaszcza instytucji centralnych imponują ogromem i przepychem; budynek ten bowiem to fronton całego banku, czołowa reklama. Największy bank na świecie Midland Bank w Londynie, kończy obecnie budowę wspaniałego gmachu centrali: 8 pięter nad ziemią, 3 piętra pod ziemią; całość pomieści personel 2.400 osób. Na najniższym piętrze pod ziemią mieszczą się urządzenia techniczne, jak: ogrzewanie centralne, wentylatory, pompy, silniki dźwigów i t. d. Drugie dolne piętro

zajęte jest przez skarbiec banku, trzecie przez skarbcę depozytowe klientów. Parter obejmuje wyłącznie hale operacyjne; pierwsze, drugie i trzecie piętro przeznaczone są na wewnętrzną manipulację bankową: księgowość, korespondencję, izbę rozrachunkową dla obrotu czekowego i t. d. Na czwartym piętrze znajdują się biura zarządu, sekretariatu, podczas, gdy gabinety dyrektorów, sale posiedzeń plenarnych i komitetów mieszczą się o piętro wyżej. Szóste i siódme piętra przeznaczone są na sale jadalne, kuchnie i t. d. Cyrkulację wewnętrzną budynku obsługuje 13 dźwigów i 5 klatek schodowych.

Podstawę budynku bankowego i jego „najdroższą” część tworzy skarbiec. Technika nowoczesna wysiła się na coraz doskonalsze wyekwipowanie skarbców w środki obronne przeciw rozpruwaczom kas, którzy posługują się wszystkimi zdobyczami nauki w swym „rzemiośle”. Cały arsenał środków ochronnych stoi do dyspozycji zadania obrony kapitału przed intruzami: zamki rozmaitych systemów, mechanizmy zegarowe, które w pewnych godzinach zaryglowują drzwi skarbcowe, tak, że ich żadnym kluczem, ni narzędziem otworzyć nie



Przekrój wnętrza ściany skarbcia



Przekrój wnętrza ściany skarbcia

można; mechanizmy alfabetyczne, które otwierają się tylko dla znających tajemnicze hasło, niby sezamy z bajki; lampy sygnałowe, które rzucają światło w pewnych odstępach czasu, o ile nikt niepowołany nie narusza drzwi wchodowych; dzwonki alarmowe przyłączone do tabliczek z selenu, t. j. metalu, mającego tę właściwość, że przewodzi prąd elektryczny tylko, gdy jest naświetlony. Tabliczki te umieszczone są w tych miejscach, gdzie przypuszcza się atak „kasiarzy”. Ponieważ „kasiarze” przeważnie posługują się światłem, przeto dzwonki alarmują po kilku sekundach naświetlania selenu. Niemniej groźnym wrogiem dla całości mienia bankowego jest ogień; stąd skarbcie nowoczesne budowane są z masy ogniotrwałej — żelazo-betonu lub tym podobnych materiałów. Płyty stalowe, używane do wyrobu kas pancernych, składają się z kilku warstw najtwardszej stali spawanej razem; w ten sposób otrzymuje się całość najtwardszej jakości, odporną zupełnie na wiercenie. Kompozycja ta jest tego samego rodzaju, co płyty stalowe, służące do uzbrojenia okrętów wojennych. Wnętra ścian skarbców są wypełnione masą granitową, odporną nie tylko na

zwykle działanie ognia, ale także na płomień aparatów tlenowych lub acetylenowych, w które zaopatruje dzisiejsza pyrotechnika i metalurgia włamywaczy. Przez rdzeń masy granitowej przebiegają we wszystkich kierunkach szyny kolejowe i specjalne belki stalowe o skręconej spiralnie powierzchni (dla większej trudności przy wierceniu). Aby zapobiec podkopom z dołu lub z boku do skarbców, umieszczone są pod i obok skarbcza kabiny wartownicze.

*

Nowoczesny obrót bankowy posługuje się w dużych rozmiarach czekiem. Czek jest to

W Anglii i Ameryce dokonywa się wszystkich większych, a nawet drobnych w handlu detalicznym wypłat za pomocą czeków. Jak powiedział ktoś dowcipny: Londyn nie posługuje się walutą funtową, lecz czekową. Czeki zastąpiły w obrocie nieporęczną gotówkę i stanowią dziś istotę tego, co nazywa się „obrotem bezgotówkowym”. Za przykładem świata anglosaskiego przyjął się czek na całej kuli ziemskiej i jest dziś powszechnym środkiem płatniczym świata bankowego i finansowego. Naturalnie chodzi o czek, mający pokrycie — choć i czek bez pokrycia jest w swej istocie zupełnie



Skarbiec banku australijskiego zniszczonego kompletnie przez pożar

według definicji prawnej „bezwarunkowe polecenie natychmiastowej wypłaty określonej sumy pieniężnej, skierowane do przedsiębiorstwa bankowego”, czyli, jak się mówi w języku handlowym, na to przedsiębiorstwo „wystawione”. Swe wszechstronne zastosowanie w obrocie płatniczym, jak wogóle swą nazwę i pochodzenie wywodzi czek ze świata anglosaskiego (słowo — cheque, jak piszą Anglicy, lub check, jak wolą Amerykanie, pochodzi od czasownika to check, t. zn. ograniczać, oznaczać ściśle).

„bezgotówkowy”! Czeki i inne formy obrotu bezgotówkowego koncentrują się w izbach rozrachunkowych, których pierwowzorem był londyński „Clearing House”. Obecnie jest w Londynie kilka takich izb rozrachunkowych, a obroty ich dzienne dochodzą do 20 milionów funtów — a więc pół miljarда złotych w złocie! W Polsce istnieją izby rozrachunkowe we wszystkich większych miastach, przy oddziałach Banku Polskiego. Obrót czekowy też u nas zaczyna się przyjmować, choć z powodu niskiego stopnia kultury ekonomicznej — narazie w skrom-

wprowadził także Bank Polski dla t. zw. „białych czeków”, tj. płatnych okazicielowi. Niebezpieczeństwu podjęcia gotówki przez niewłaściwego posiadacza czeku mają zapobiec t. zw. „czeki rozrachunkowe”, tj. zwykle czeki opatrzone uwagą: „tylko do rozliczenia”. W Anglii nazywają je: „crossed cheques” — t. zn. czeki skrzyżowane, przekreślone, gdyż odnośna adnotacja umieszczona jest w formie 2 linii położonych poprzecznie do długości czeku z napisem „et Co. Geneva tej formy jest dość ciekawa: mianowicie pierwsze Clearing House’y w Londynie były prywatnymi bankami, których firma zawierała zwykle jedno lub kilka nazwisk i tradycyjne „et Co. Stąd formułka ta zaczęła powszechnie oznaczać, że czek ten można zainkasować tylko za pośrednictwem izby rozrachunkowej naprzykład Glyn, Mills, Currie et Co. W Anglii o wszystkim decyduje tradycja...

Obrót czekowy narażony jest na znaczne niebezpieczeństwo ze strony fałszerzy czeków. Sprawa ma się podobnie jak z fałszowaniem pieniędzy, z tą zasadniczą różnicą, że pomijając już daleko większą łatwość sfalszowania, względnie przerobienia czeku niż banknotu, szkody w ten sposób wyrządzone są znacznie większe, a tem boleśniesz, że dotyczą jednego poszkodowanego. Czeki można sfalszować w kilku kierunkach, a więc: kwotę, nazwisko beneficjanta, walutę, na jaką czek opiewa. Najgroźniejsz, jest sfalszowanie kwoty, zdarza się bowiem najczęściej. Sfalszowanie dwóch innych wspomnianych szczegółów jest rzadkie — gdyż natrafia na znaczne trudności. Jako środki zaradcze używa się wielu sposobów naprzykład: awizowanie listowne każdego czeku, lub każdego przekraczającego określoną kwotę, zaopatrywanie czeku kluczem liczbowym, perforowanie czeku odpowiednią maszynką, t. zn. wycinanie w blankiecie czekowym kwoty i rodzaju waluty, zaopatrywanie blankietu czekowego z prawego końca w nadrukowane kwoty, z których przy wystawieniu czeku odcina się te kwoty, które sumę czeku przekraczają. Wszystkie jednak te środki ostrożności dadzą się usunąć i nie przedstawiają dla zręcznego fałszerza większych przeszkód. Ostatniem słowem techniki w tej dziedzinie jest wynalazek amerykański, polegający na

wpisaniu w treści czeku jego sumy słowami, zapomocą maszynki, która wyciska słowa oznaczające cyfry ukośnie (uniemożliwia to wpisanie dodatkowo jakiejś kwoty z góry lub z dołu) perforuje delikatnie wyciśnięte miejsce i napuszcza je czerwoną farbą odporną zupełnie na działanie kwasów, któremi fałszerze wywabiają pierwotną treść czeku, by wpisać nową sfalszowaną. Miejsce nad treścią oznaczające kwotę, gdzie normalnie znajduje się nazwisko beneficjanta, jest także delikatnie zperforowane przez maszynkę, tak, że wszelka poprawka lub przerobienie nazwiska beneficjanta jest zupełnie wyłączone¹⁾.

Fałszerstwa czeków nie są wcale rzadkością i zdarzają się często w kraju wszystkich możliwości: Ameryce, choć nie są sporadyczne i w Europie.

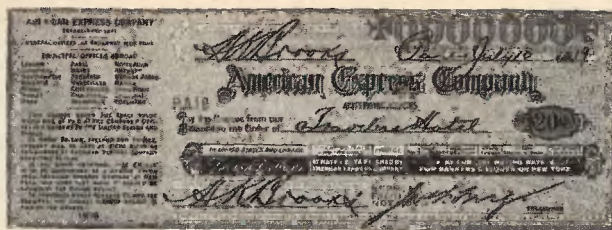
Wśród czeków certyfikowanych na pierwsze miejsce wysuwają się t. zw. w języku angielskim — czeki podróżnicze „Travelers Cheques”. Są to czeki opiewające na okrągłe sumy, wydawane przez wielkie i znane banki. Typ ten wprowadzony został przed kilkudziesięciu laty przez potężną instytucję amerykańską handlowo-bankową American Express Company w New Yorku. Czeki mają specjalny system kontroli prawidłowości ich obiegu w formie podpisu beneficjanta sporządzonego jako facsimile w górnym lewym rogu czeku. Z chwilą użycia czeku dla celów płatniczych, jako gotówki, osoba przyjmująca czek sprawdza podpis położony przez beneficjanta na czeku w jej obecności w dolnym lewym rogu, z wzorem u góry, a stwierdzenie identyczności osoby naprzykład paszportem (w wypadku wątpliwym) daje wszelkie gwarancje prawidłowego obiegu. W razie zagubienia czeku wystarczy zawiadomić o tym wypadku jakikolwiek z licznych oddziałów American Express Co. (w Warszawie znajduje się oddział A. E. Co. w centrali gmachu Banku Handlowego), aby zapobiec wypłacie do rąk nieupoważnionych. Nadzwyczajna sprawność tej instytucji i świetne wykonanie techniczne cze-

¹⁾ Maszynki te wyrabia firma Safe Guard Check Writer Company, reprezentowana na Polskę przez firmę E. W. Richter, Gdańsk, Hundegasse 91.

ków (niesły-
chanie trud-
ne do podro-
bienia) przy-
czyniło się do
ogromnej po-
pularności
czeków Amer-
ican Ex-
press Co. Na
wszystkich
wielkichszla-

kach turystycznych europejskich i po-
zaeuropejskich, w Szwajcarii, Francji,
Skandynawji, Egipcie, Indjach i t. d.
są one tak znane, że można nimi pła-
cić rachunki w hotelach, restauracjach... a nawet
bilety wejścia do muzeów. Dla wygody
swej klienteli turystycznej, przeważnie ame-
rykańskiej, American Express Co. emituje
czeki okrężne w dolarach (10, 20, 50, 100,
200) funtach (5 i 10) i frankach francuskich
(200, 400). Czeki oprawne w książeczki po
20 sztuk są ogromnie poręczne i stanowią
wprost idealny „pieniądz” w podróży, pew-
niejszy znacznie od gotówki, tak samo łat-
wy w obrocie jak gotówka, a w razie po-
trzeby wymieniający na nią w każdym banku.

Ten typ czeków wprowadziły za wzorem
American Express Co. i inne wielkie ban-
ki zagraniczne jak na przykład American
Bankers Association, Banca Commerciale
Italiana i inne.



„Traveler” czek

telefon i telegraf używa bank pewnych
urzędów specjalnych sobie tylko wła-
ściwych, jak na przykład pocztą pneu-
matyczna, służąca do wewnętrznej komuni-
kacji, radioaparaty odbiorcze dla notowań
kursów giełdowych i t. d. W sposób swoi-
sty posługuje się bank telegrafem, zwłaszcza
w komunikacji zamorskiej t. zw. „kablem”.
Ponieważ depesze zamorskie są dość drogie,
a z drugiej strony korespondencja listowa
z krajami zamorskimi jest zbyt powolna,
używa się dla koncentracji treści depeszy
do jak najmniejszej ilości słów t. zw. ko-
dów telegraficznych (z angielskiego „tele-
graphic code”). Kodów takich jest w użyciu
kilkanaście rodzajów jak: Rudolf Mosse
Code (niemiecki), Western Union (amery-
kański), wydany przez kompanję telegra-
ficzną, posiadającą kilka kabli transatlan-
tycznych (między Europą i Ameryką), Pat-
terson's Banking Code (angielski), zwłaszcza

Zagadnie-
niem zasad-
niczej donio-
słości dla
banku jest
sprawna i
pewna komu-
nikacja. O-
bok urzędów
powszechnie
używanych
jak: poczta,

LOYER	MUFLE	NONNE	ORBIT	PULPE	ROTIR	SPORT	TRIBU	URNES	VOGUE
LUCIE	MYOPE	NOYAU	ORLOP	PUNCH	ROUGE	STOCK	TURCO	URSUS	VOILE
LUEUR	MYRTE	NUAGE	OSIER	PUNIR	RUADE	SUCRA	TYRAN	UTICA	VOUTE
ny di ...	WIDOW	Today, Friday ... Aujourd'hui, Vendredi ...			WORLD	Today, Saturday ... Aujourd'hui, Samedi ...			WRIST
re 11 a. m. of 11 h. ...	WIELD	Friday before 11 a. m. Vendredi matin avant 11 h.			WOUND	Saturday before 11 a. m. Samedi matin avant 11 h.			WRUNG
e 3 p. m. ures ...	WITCH	Friday before 3 p. m. Vendredi avant 3 heures			WRECK				

70,000	AMBRY
75,000	AMERS
80,000	AMICI
90,000	AMPHI
100,000	AMSEL
200,000	AMYOT
250,000	ANJOU
300,000	ANKLE
400,000	ANNOY
500,000	ANTAN
600,000	AOSTE
700,000	APACE
750,000	APPEL
800,000	ARABE
900,000	ARENA
1,000,000	ARROW
1,250,000	ASHES
1,500,000	ASPIC
1,750,000	ASTRE
2,000,000	ATLAS
2,500,000	ATOME
3,000,000	AUGET
3,500,000	AFIPAS
4,000,000	AVION
4,500,000	AWFUL
5,000,000	AXIAL
7,500,000	AZOTH
10,000,000	AZURE

(1)	DANSEALTAR	ETAGEAOSTE 4740 WELSH (Signature).
Translation:	Buy \$ 60,000 at best. — reply leaving your city	We are sellers of Fr. Frs. 600,000 at 47.40 valid upon urgent Tuesday before 11 a. m.
Traduction:	Achetez \$ 60,000 au mieux. urgente quittant votre ville	— Nous sommes vendeurs de Frs. fr. 600,000 à 47.40 valable sur réponse Mardi matin avant 11 h.
(2)	DEPITALTAR 578	ZIBANEPICE AOSTE 4740 ZEIST (Signature).
Translation:	Bought for your account from you Fr. Frs. 600,000	\$ 60,000 at 57.8 value Thursday — We accept your offer and buy at 47.40 value Wednesday.
Traduction:	Arons acheté pour votre compte de vous Frs fr. 600 000	compte \$ 60,000 à 57.8 valeur Jeudi. — Acceptons votre offre et ache- te à 47.40 valeur Mercredi.

Kod telegraficzny

zaś znany jest na całym świecie Bentley's Code (angielski). Kody ułożone są na wspólnej zasadzie: koncentracji najpospolitszych wyrazów handlowych i bankowych, nazw, liczb i t. p., składników treści telegramów — do zespołów pięcioliterowych, których z alfabetu 24 literowego można utworzyć kilkadziesiąt tysięcy. Te zespoły pięcioliterowe łączy się po dwa razem, tak, że tworzą dziesięcioliterowe słowa, dopuszczalne w międzynarodowym obrocie telegraficznym. Odczytywanie kodowanej depeszy polega na rozdzieleniu słów dziesięcioliterowych na połówki i następnie na wyszukaniu w podręczniku danego kodu znaczenia każdego zespołu pięcioliterowego w języku potocznym. Oszczędności przy posługiwaniu się kodem, zwłaszcza przy długich depeszach są olbrzymie: do 80% kosztów depeszy w języku potocznym. W wielkich bankach angielskich i amerykańskich, mających liczne interesy zamorskie, przynosi ranna poczta kilkaset kodowanych depesz tak, że ich odczytywaniem zajęte są specjalne wydziały, zatrudniające po kilku specjalistów. Bentley, twórca najbardziej rozpowszechnionego w świecie anglosaskim kodu, którego już było kilkanaście wydań, utrzymuje w Londynie ogromne biuro, zatrudniające kilkadziesiąt osób. Pracuje się tam wciąż nad ulepszeniem kodu, a także na zamówienie układa się kody dla celów specjalnych jak na przykład dla przedsiębiorstw okrętowych, handlowych i banków.

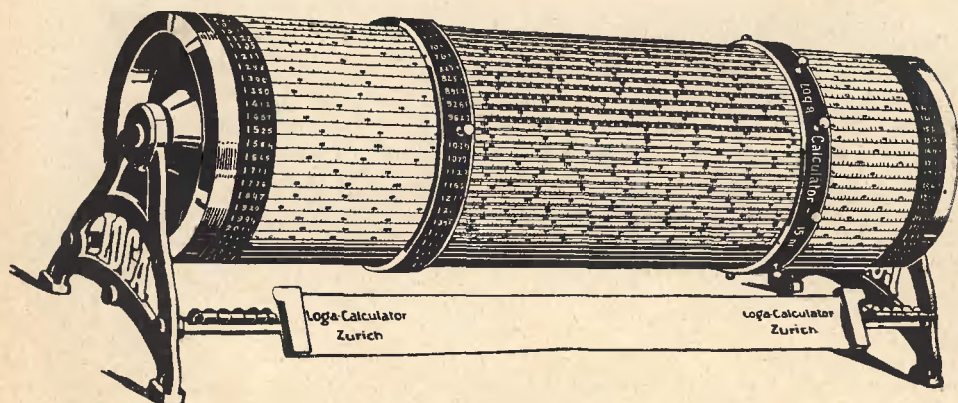
Odrębną grupę wśród kodów telegraficznych stanowią t. zw. kody prywatne. Są

one zbudowane na tej samej zasadzie, co wszystkie kody t. zn. polegają na znacznym zaoszczędzeniu kosztów depesz.

Przy używaniu prywatnych kodów telegraficznych możliwe są przekręcenia spowodowane przez telegraf. Aby w takich wypadkach zrozumieć depeszę, zawierającą prywatne kody telegraficzne zazwyczaj na końcu zestawienie zespołów odwróconych. Najlepiej wyjaśnić to na przykładzie, zaczerpniętym z wzoru prywatnego kodu telegraficznego jednego z wielkich zachodnio-europejskich banków.

Nadchodzi telegram kodowany ze słowem: „*benseaffut*”. Druga część słowa, t. zn. zespół „*affut*” jest poprawna i znaczy 10000; tymczasem słowa „*bense*” nie ma w kodzie, nie ma nawet żadnego zespołu zaczynającego się na „*ben*”. Jeżeli jednak „*bense*” odczytamy w kierunku odwrotnym okaże się, że wprawdzie nie ma zespołu „*esneb*”, jest jednak w spisie zespołów odwróconych „*esnad*” t. zn. w porządku właściwym „*danse*” co oznacza dewizę na New York, a więc: 10000 dolarów Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Tendencją dzisiejszej bankowości jest zmechanizowanie wszystkich pomocniczych prac biurowych i zastępowania pracy ludzi, tańszą, szybszą i dokładniejszą pracą maszyn. Najpierw przyszła kolej na podstawowy instrument wszelkiej pracy biurowej: pismo ręczne. Wyrugowały je już dawno maszyny piszące. Dziś jednak maszyna w swym zwycięskim pochodzie zagarnia coraz dalsze dziedziny pracy ludzkiej. Wszel-



Loga - calculator



*Kabiny telefoniczne wydziału dewizowego jednego z wielkich banków berlińskich.
Na ścianach wiszą kalkulatory „Loga”*

kie skomplikowane i długie prace rachunkowe, zajmujące tak znaczną część wśród czynności bankowych, wykonywają dziś maszyny do liczenia: jak Hannover, Oelsner, do lepszych należąca Rema i t. d. Na polu tem, jak i w innych dziedzinach techniki, przoduje Ameryka. Maszyny amerykańskie dodają, odejmują skomplikowane szeregi cyfr, sporządzają na taśmie papierowej rozmaite zestawienia buchalteryjne, wypisując wyniki końcowe w czerwonych cyfrach z uwzględnieniem lub bez uwzględnienia pewnych danych i t. d. Podobnie wyciągi z rachunków sporządza się dziś na drodze mechanicznej, bądź to w systemie mechanicznej księgowości, gdzie każda pozycja zapisuje się od razu w kilku miejscach, tak, że z końcem okresu obrachunkowego, wyciąg rachunku jest automatycznie gotowy, bądź też w drodze zdjęć fotograficznych (negatywów) danego konta pisanego na przezroczystym papierze.

*

Od maszyn do liczenia opartych na zasadzie mechanicznej, odróżniają się swą zasadą t. zw. kalkulatory. Założeniem tych aparatów jest działanie matematyczne zwane logarytmowaniem.

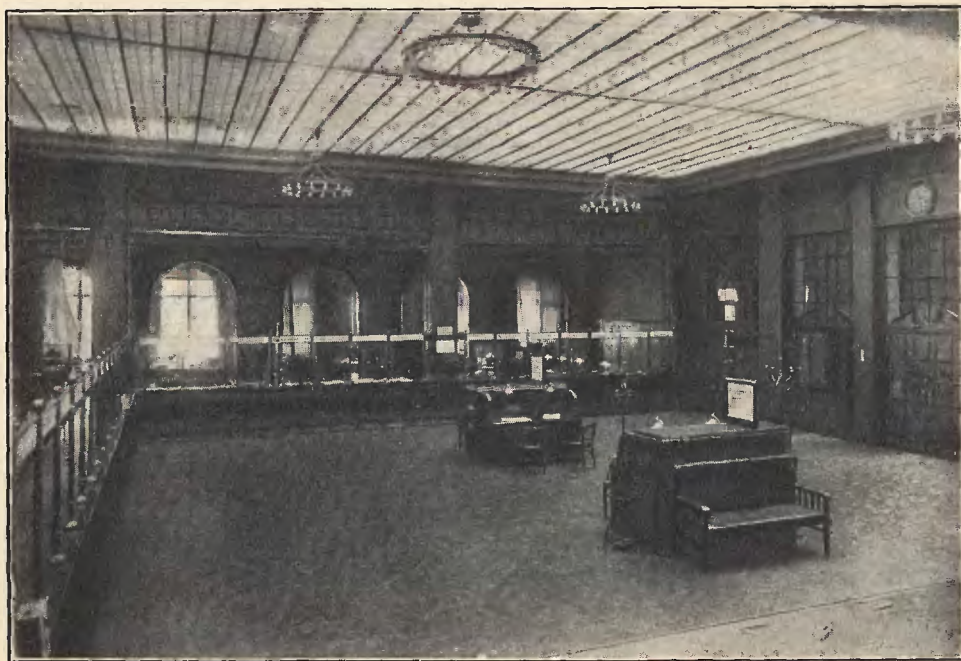
Najbardziej znanym jest we wszystkich bankach na świecie (także w Polsce) „Loga Calculator” bardzo precyzyjny wyrób szwajcarski. Składa się on z dwóch walców.

Maszynka ta jest ogromnie lekka, łatwo przenośna i ogromnie poręczna (można ją naprzykład powiesić w budce telefonicznej, na specjalnych wieszakach).

Przez proste ruchy walców dokonywa się najbardziej skomplikowanych, wielokrotnych dzielen i mnożeń i odczytuje się rezultaty końcowe. Pomyłki są zupełnie wyłączone. Ołówek i tabliczka mnożenia są do rozwiązania tego rodzaju obliczeń, obejmujących cyfry z kilku dziesiątnymi, zupełnie niewystarczające, gdyż nawet bardzo wprawny rachmistrz potrzebowałby na te działania kilkunastu minut czasu. Wia-



Gmach centrali Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, zbudowanego w 1913 r.



Sala operacyjna (hall) centrali Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu

domo zaś, że przy rozmowach telefonicznych — decyzja musi być powzięta po kilkunastu sekundach, gdyż w przeciwnym razie zamienzoną transakcję zakończy arbitralne oświadczenie telefonistki ze stacji międzymiastowej: „sześć minut — rozłączam!” „Loga” oddaje wielkie usługi w całej bankowości: przy obliczaniu liczb procentowych ($\text{kapitał} \times \text{dni}$), odsetek, walut (na przykład f. szt. $268,75 \times 8,93$), akcji i papierów wartościowych, dyskonta weksli i t. d. Podobnie wielkie usługi oddaje ta prosta metoda w rachunkowości innych dziedzin handlu i przemysłu, statystyki i t. d.

*

Bank nowoczesny nie gardzi reklamą. Że jednak bank jest instytucją poważną, więc posługuje się reklamą poważną i dyskretną. Niema więc tu świetlnych efektów, czy pudelka pasty do obuwia na samochodzie. Jest jednak reklama nowoczesna, żywa i barwna: ogłoszenia w dziennikach, na

dworcach węzłowych wielkich szlaków kolejowych, w przewodnikach turystycznych, wydawnictwa jubileuszowe, albumy i t. d.

W swym przeszło stuletnim rozwoju, bankowość przeszła wraz z całą ludzkością olbrzymie przeobrażenie. Małe kasy oszczędności z przed 100 lat tak się różnią od nowoczesnych banków, potężnych zbiorowisk kapitału, będącego skrytalizowaną pracą ludzką, jak różniły się pierwsze nieudolne lokomotywy owe chwiejne „samowarki” od dzisiejszych lokomotyw olbrzymów o sile uciagu 2000 ton! Lecz choć przeobraził się gruntownie obraz zewnętrzny banku, choć posługuje się on zupełnie innymi środkami technicznymi, jednak podstawowa zasada bankowości pozostała niezmienna, jak niezmienny jest człowiek w swej istocie, czy to troglodyta z epoki kamiennej, czy to współczesny mieszkaniec globu ziemskiego. Podstawą tą granitową jest: praca i oszczędność, gdyż „narody, które nie umieją pracować i oszczędzać, zginą z powierzchni ziemi”.

ROZRYWKI UMYSŁOWE



Rozwiązanie 9 krzyżówki pozaturniejowej wykonane
przez p. Jana Stratilato z Sosnowca

Z TEKI HU

Jak wygląda



MORYSTY

karnawał

Rys. J. Zaruba



ROZRYWKI UMYSŁOWE

POZATURNIEJOWE ZADANIA KRZYŻOWE

KRZYŻÓWKA 11.

Ułożyła Irena Czachowska z Krakowa.

Znaczenie wyrazów poziomych: 1 A. Współczesny historyk literatury polskiej. 3 C. Pora roku. 3 J. Narzędzie rolnicze. 4 F. Miasto na Wołyniu. 5 A. Dopływ Wołgi. 5 Ł. Krzewy kwiatowe. 6 C. Zwierzę kregowe, jajorodne. 6 J. Część opery. 8 A. Współczesna malarka polska. 10 C. Bożek wojny. 10 J. Środek opatrunkowy. 11 A. Rzeka w Polsce. 11 Ł. Przeciwnieństwo dobra. 12 F. Naczynie pękate. 13 C. Zdarza się. 13. J. Termin geograficzny. 15 A. Historyk i poeta polski.

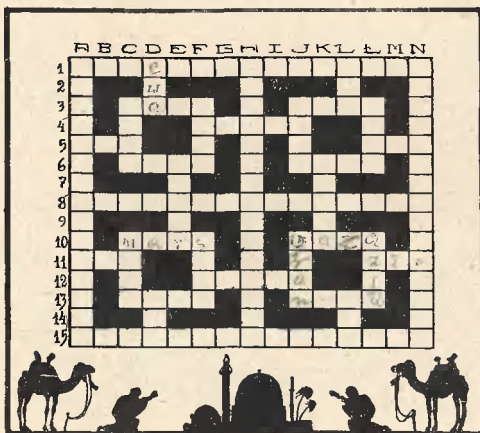
Znaczenie wyrazów pionowych: A. 1. Kronikarz polski z XIV w. C 3. Bohater Szekspira. C 10. Narodowość. D 1. Pierwsza kobieta. D 13. Wyspa na Atlantyku. E 6. Mizerne. F 3. Uprawa roli. F. 10. Miasto dawnej Arabji. H 1. Autor „Ludgardy”. J. 3. Zwierzę domowe. J. 10. Jednostka wagi. K 6. Wista. L. 1 Powtórzenie. L. 13. Ptak domowy. Ł 3. Wódz hiszpański.

Ł. 10. Część świata. N 1. Poeta polski z połowy XIX w.

Termin nadsyłania rozwiązań *Krzyżówki 11* upływa dn. 30 marca 1928. Rozwiązania należy nadsyłać na pocztówkach lub z dołączeniem takowych, na których rozwiązujący, winien podać swe nazwisko i adres ewentualnie gość, i skierować pod adresem: *Redakcja „Naokoło Świata” — Warszawa, Zgoda 12.* — *Rozrywki Umysłowe.*

Jako nagrody za prawidłowe rozwiązania *Krzyżówki 11* przewiduje redakcja „Naokoło Świata”, w drodze losowania, odpowiednią do liczby uczestniczących ilość egzemplarzy najnowszych wydawnictw beletrystycznych firmy „Gebethner und Wolff”.

Najpiękniej wykonane rozwiązania zostaną nagrodzone oraz umieszczone na łamach działu.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 9.

Naokoło Świata Nr. 36.

Krzyżówkę *Cieńcały z Kielc* powaliły na obie łopatki następujące osoby:
Bogusławice: Jassek Rudolf;
Bydgoszcz: Sajdakowa Jadwiga;

Częstniki: Milińska Marja;
Częstochowa: Prejzner K.;
Dąbrowa Górnicza: Nowak Jan;
Dobrzeliń: Kwiekowska Jadwiga;

Kalisz: Herbichówna Janina;
 Kielce: kpt. Jędruch Stanisław;
 Konin: Baranowicz Franciszek;
 Kraków: Czachowska Irena, Filek Andrzej
 Mossoczówna Hanka, Tara Józef, Walew-
 ski J;

Lublin: Dowgird Michał, Orłowska Jadwi-
 ga, Perlińska Wanda;

Lwów: Englert Józef, Kal. Mar.;

Łódź: inż. Salm Jan;

Mielec: prof. Kawa
 Władysław;

Nowy Sącz: Swider-
 ski Bolesław;

Pińsk: Kaliszewski
 Antoni;

Piotrków: Kubnke
 E., Przechadzka Łu-
 cja, Tamilin Wiara;

Poznań: chor. ŁBe-
 kielewski Fr., Sławiń-
 ska Irena, Wojtkie-
 wicz O.;

Smardzewice: ks.
 Julian Ludomir Arli-
 tiewicz;

Sosnowice: Dyzen-
 hauz Tadeusz, Strati-
 lato Jan;

Waratyck: Szopa
 Stanisław;

Warszawa: Domagała Tadeusz, Herbst-
 manówna Dorota, Kamieńska Halina, Ka-
 miński Janusz, Kolbow Harry, Kozłowski
 Czesław, inż. Landau Jan, Malinowski Z., Szy-
 mańska N., Piekarski M., Rogowicz H., Ruciń-
 ski Juliusz, Tietr Zygmunt, Walter Wacław;

Wilno: Ciechanowicz Wiktor, Farbotko
 Józef, Hermanowicz Jerzy, Per Wiktor;

Zambrów: Chojnowski Stanisław, Sadow-
 ski Eugenjusz;

Zawiercie: prof. Rączkowska Janina.

Nagrody otrzymują drogą losowania:
 „Z dnia na dzień” Goetla p.p. kpt. Stani-
 sław Jędruch z Kielc, prof. Władysław Kawa
 z Mielec i Wacław Walter z Warszawy;
 po 100 widokówek p.p. J. Walewski z Kra-
 kowa i Wanda Perliń-
 ska z Lublina;

„Z dnia na dzień”
 Goetla z autografem—
 za wyróżnione rozwią-
 zania—p p.K.Prejzner
 z Częstochowy, Jan
 Stratilato z Sosnowca,
 Wiktor Ciechanowicz
 i Jerzy Hermanowicz
 z Wilna.

Ostatnie trzy roz-
 wiązania podajemy w
 tekście n-ern.



Rozwiązanie krzyżówki 9 wykonane przez
 p. K. Prejznera z Częstochowy

Nagrodzeni prosze-
 ni są o porozumienie
 się z kierownikiem
 działu; zamieścowi li-
 stownie, miejscowi —
 osobiście (w ponie-
 działki od 2-ej do 3-ej w lokalu redakcji

„Naokoło Świata”), celem podjęcia nagród;
 zamieścowi winni podać dokładny adres,
 pod którym nagrody zostaną wysłane. Po-
 zatem prosimy nagrodzonych o łaskawe na-
 desłanie swych podobizn celem umieszczenia
 na łamach „Rozrywek umysłowych” w pod-
 dziale „Laureaci naszego działu”.



Rozwiązanie „Tajemniczego zamku” z III Turnieju
 Zadaniowego wykonane przez p. W. Pera z Wilna

Miesięcznik

UNIWERSALNY

Warszawa,

ul. Złota 7/9

ANTENA POL SKA

Miesięcznik

UNIWERSALNY

Wszędzie do nabycia

w cenie 1²⁵ za egz.

1²⁵ PRENUMERATA Tylko 1²⁵ Tylko PRENUMERATA 1²⁵

70 stron druku. Stale przeszło 60 wysoce artystycznych ilustracji, przeszło 40 artykułów pierwszorzędných autorów. Niespotykane w żadnem innem czasopiśmie bogactwo i różnaitość treści. Najtańsze, najbogatsze, najwszechstronniejsze czasopismo polskie.

O BOK RADJA PORUSZA SPRAWY, OBCHODZĄCE KAŻDEGO INTELIGENTNEGO CZŁOWIEKA.

PRZEKONAJCIE SIĘ SAMI,

A NIECHYBNIĘ STANIE SIĘ

ANTENA POLSKA

Waszą potrzebą i umiłowaniem.